



40

konkurs
literacki
LIMESU

ISBN: 978-83-7051-851-6

utwory nagrodzone i wyróżnione

**Uniwersytet Przyrodniczo-Humanistyczny
w Siedlcach
Uczelniany Ośrodek Kultury**

40

konkurs literacki

LIMESU

utwory nagrodzone i wyróżnione

Siedlce 2017

Wydawca:
Uniwersytet Przyrodniczo-Humanistyczny w Siedlcach
Uczelniany Ośrodek Kultury

ISBN: 978-83-7051-851-6

Konkurs odbywa się pod patronatem
Prezydenta Miasta Siedlce.

Impreza promocyjna zorganizowana
przy życzliwej współpracy
Domu Pracy Twórczej „Reymontówka” w Chlewiskach

Okładka, koncepcja graficzna i typograficzna oraz skład:
©Jolanta Szymczyk

PROTOKÓŁ
z posiedzenia Jury XL Konkursu Literackiego LIMESU
pod patronatem Prezydenta Miasta Siedlce
z dnia 19 września 2017 r.

Jury w składzie:

Wacław OSZAJCA – przewodniczący

Krzysztof TOMASZEWSKI

Roman BOBRYK

Jolanta SZYMCZYK

Sylwia FLIS

Tadeusz GOC – sekretarz

po rozpatrzeniu nadesłanych na Konkurs prac postanowiło przyznać:

w kategorii poezji:

I nagrodę Annie Piliszewskiej z Wieliczki, godło „Demeter”,

II nagrodę Magdalenie Dryl z Katowic, godło „odtądotą”

III nagrodę Tadeuszowi Charmusze z Suwałk, godło „Nektarynka”,

wyróżnienie Zbigniewowi Mysłowieckiemu z Warszawy, godło „Albatros”;

w kategorii prozy:

I nagrodę Andrzejowi Liczmonikowi z Wrocławia, godło „Apollo”,

II nagrodę Krzysztofowi Chronowskiemu z Wrocławia, godło „Marcyn”,

III nagrodę Aleksandrze Caban z Bielska Białej, godło „Popiół”;

w kategorii „Student”

Nagrodę Annie Marii Kobylińskiej z Warszawy, godło „Fuksja”,

wyróżnienie Paulinie Montewce z Siedlec, godło „Silentium”;

Nagrodę specjalną za wiersz o Siedlcach Tadeuszowi Dejneckiemu z Płocka”, godło „Kros”.

Ponadto Jury zwróciło uwagę na prace opatrzone godłami „Sen Lorelay” (Adam Wierzbicki z Żyrardowa), „Arwena” (Aleksandra

Biernacik z Bydgoszczy), „Sammar” (Paulina Pawlak z Tuchowicza), „Malinowe wspomnienie” (Monika Olszewska z Warszawy), „Sum europejski” (Stanisław Wasilewski z Żyrardowa), „Ogniwaczek” (Anna Płaskowska z Mińska Mazowieckiego) oraz „Doma (Dominika Bocian z Siedlec).

Podpisy jury na oryginale protokołu.

Iskrzenie życia

Ktoś kiedyś powiedział, że napisanie choćby jednego wiersza, to jakby przekroczenie wysokiego progu, za którym rozpościera się ten sam świat, ale już inny, bogatszy. Tak też dzieje się w wierszach z tego tomu. Na przykład Paulina Montewka pyta „a kiedy będzie promocja na życie”. Banał? Niekoniecznie. Wprost przeciwnie, to pytanie jest ze wszech miar zasadne, warte uwagi. Poetce nie wystarczają wypromowane przez współczesną cywilizację recepty na tak zwane szczęśliwe życie, gdyż za mało w nich właśnie życia, czyli... no właśnie czego? Odpowiedź musimy znaleźć sami. Wiersz jest właśnie po to, żeby człowieka ożywić, wytrącić z marazmu jego umysł i serce, duszę. Dlatego poezja jest przede wszystkim sztuką stawiania pytań, dlatego Paulina Montewka mówi:

„Pomimo wyobcowania ludzie nadal potrafią okazywać
sobie sympatię (dwukropek nawias)
Nawet miłość (dwukropek gwiazdka)
Dużo miłości... (dwukropek gwiazdka gwiazdka gwiazdka)
Gwiazdka — czas magii (magii rabatów)
Wyścig po największą — choinkę (promocję)
A kiedy będzie promocja na życie?”

Mamy więc do wyboru, życie otwarte i życie w nawiasie. Życie wypowiadające się i życie wykropkowane, sprowadzone do, co tu dużo gadać, do konsumpcji.

Na rzeczywistość w której żyjemy i która nas tworzy za naszą wolą i wbrew naszej woli, można patrzeć pod różnym kątem. Od



strony nauk społecznych, matematyczno-przyrodniczych, ale równie ciekawie, a może jeszcze bardziej ciekawie, wygląda ten nasz świat, kiedy poddać go, że tak powiem, obróbce poetyckiej, tak jak to robi Tadeusz Charmuszko w wierszu pt. „Krzyżyk”. Ten przedmiot chrześcijańskiego kultu, według T. Charmuszki, został „dyskretnie wyeliminowany” nawet „z kuponów totolotka” i „nie może się odnaleźć” w tym naszym „zwariowanym świecie” i już „jedynie w popularnej grze / towarzyskiej z kółkiem / pozostał niewzruszony”.

Gra w kółko i krzyżyk, to nie dla mnie, nie na moją głowę, której tego typu rozrywki jakoś nie chcą się trzymać. Grunt, że w tym wierszu ów krzyżyk wychodzi na swoje. Kiedyś, jako znak męki i śmierci Jezusa, był znakiem zwycięstwa miłości nad nienawiścią, życia nad śmiercią. Tę samą rolę pełnił na cmentarzach i na rozstajach dróg. Z czasem jednak krzyż, jak wiele innych symboli i mitów, stracił swój szlachetny charakter, by stać się krzyżykiem, elementem trywialnych powiedzeń, czy na poły magicznych działań. Jednak, w tym tak strywializowanym świecie, ów krzyżyk, według Tadeusza Charmuszki, dalej niepokoi i domaga się zauważenia. I znowu, poeta jest po to, żeby przeszłość, to co zostało zapomniane, czy zbanalizowane, ożyło i odzyskało mowę.

Coś podobnego dzieje się w wierszu „Drwęca” autorstwa Anny Piliszewskiej.

„*Drwęca* jako przyczynek
rozważań poetycznych wypada całkiem
przykładnie, choć za oknami wieczór
nie spada w wilgotną trawę twardym jabłkiem
granatu”.

Cały wiersz można znaleźć w tomie. To co wyróżnia jego autorkę, to forma. Piliszewska zdaje się nawiązywać do takiego nurtu poetyckiego, o którym się mówi, że jest to poezja docta. Rzeczywiście, chcąc rozszyfrować powyższy wiersz, trzeba sięgnąć po słowniki i encyklopedie. Drewnz to oczywiście niemiecka nazwa Drwęcy, rozważania poetyczne, w tym przypadku, mają nam pomóc zobaczyć rzekę jako metaforę, jako cento, czyli rzeczywistość uszytą z różnych kawałków, czyli wydarzeń. Taka poezja może zniechęcać, zwłaszcza tych, którzy nie wychodzą poza sms-y, czy inne tego typu niby język. Zmaganie się zaś z tego typu wierszem może nam przynieść tylko same korzyści. Otworzyć na bogactwo możliwości, sposobów komunikowania się ludzi. Niebanalnego sposobu badania i opisywania świata. Że tak jest, niech świadczy wiersz Zbigniewa Mysłowieckiego. Oto fragment wiersza zatytułowanego „pieśń czarnej owcy”.

„matko
gdyby mi ktoś dziesięć lat temu
powiedział że będę cię woził w wózku —
nie uwierzyłbym
(...)
wózek wspina się i zjeżdża z krawężników
ty dostojna w zimowym słońcu
ja walczący z podjazdami drzwiami
przechodniami jak lwica
broniąca młodych
a to przecież tylko ty

matko

moje niemowlę w inwalidzkim wózku”.

Przyznam, że bardzo lubię taki sposób uprawiania poezji. Wiersz oszczędny w formie, ale bogaty w treści. Plastyczny, ten wiersz po prostu się widzi. Zaskakujący. Mysłowiecki mówi, że nie spodziewał się, iż będzie swoją matkę woził w wózku. W wózku wozi się dzieci, ale nie dorosłe osoby. A jednak. Jest przecież wózek inwalidzki, który wielu z nas potrafi śmiertelnie przerazić. Matka, osoba zniedołężniała, oniemiała i syn, i jego sposób traktowania matki. Owszem, splota on matce dług, jaki zaciągnął u niej w dzieciństwie, nie zmienia to jednak faktu, że robi to z dziecięcą fantazją. Jedzie z matką przez miasto, jakby jechał, a właściwie szalał po tym mieście z kumplami na rowerze.

Powie ktoś, że takie heroiczne wątki i cmentarny nastrój w poezji młodych, a i starszych debiutantów twórców to nic nadzwyczajnego. Młodzi tak mają. Może i tak, ale z tego nie wynika, że na te młode wiersze można machnąć rękę, kwitując je aroganckim stwierdzeniem: Pożyją, to zobaczą, jakie naprawdę wygląda życie. Szkopuł w tym, że oni nie muszą czekać starości, oni już widzą, i to widzą to, czego właśnie my, dorośli nie chcemy zauważyć. Magdalena Dryl mówi:

„zostaną po nas drżące
niepewne siebie uśmiechy
cichych słów zapisanych
w przypadkowych wierszach
spojrzenia czułe zatroskane
miłość darmo rozdawana”.

8



„Miłość darmo rozdawana”, banał! Jak dla kogo. A kogo wspominamy choćby przy wigilijnym stole, za kim tęsknimy i o kim marzymy w bezsenne nocy? A no o tych, którzy nie wiedzieć czemu trwali przy nas w dobrej i złej doli. To oni zostawili nam przebogaty spadek, ważniejszy nawet od sumki na koncie.

W przywołanym wierszu z jednej strony mamy opustoszały dom, twarz pooraną zmarszczkami i świadomość niespełnienia, to znaczy nie tylko odczucie, ale przekonanie, że bohater, i my razem z nim, osiągnęmy tylko część tego, o czym marzymy. Jednak nie powinno nas to martwić. Pozostaje coś, co Magdalena Dryl określa właśnie jako „miłość darmo rozdawana”. Mówiąc inaczej, naprawdę istnieje tylko to, co powstaje z bezinteresowności, wielkoduszności, hojności. Tak, prawdziwość tych słów potwierdza Księga, w której napisano, że miłość silniejsza jest od śmierci.

Następna sprawa. Autorzy wierszy nadesłanych na konkurs mają świadomość uczestniczenia w tym wielkim dialogu jakim jest sztuka. Próbują więc na swój poetycki sposób, interpretować dzieła innych gałęzi sztuki. Na przykład Anna Maria Kobylńska w wierszu „Spacer Vincenta”.

„Barwy płyną kanałami. Liście drzew
w tańcu zmieniają się w płatki
słoneczników. Żółcień bije po
oczach jak spojrzenia szaleńców.
Krew tętni pulsującym światłem,
które wyplata na nocnym niebie
pokrętne historie o kształtach. Wibracja
przestrzeni, toczą się koła ruchem

odpadającego ucha.
(...)
To całe drżenie.
Sen o iskrzeniu świata.

Wiedzą o tym pigmenty
wybuchające szybko i nerwowo
na moich płótnach”.

Twierdzi więc Anna Maria Kobylińska, że malarstwo to „iskrzenie świata”. Ale takim iskrzeniem są wszystkie dziedziny sztuki. Również Świat jest iskrzeniem, a więc procesem, który musi mieć znaczenie, przesłanie, skoro obraz tej rzeczywistości wprawia nas w nerwowość.

* * *

Na dobrą sprawę wierszy nie powinno się streszczać, ani opowiadać je tak zwanymi własnymi słowami, gdyż takie zabiegi z góry skazane są na niepowodzenie. Natomiast dobrze jest słowom wiersza dodać muzykę, postawić je przy obrazie, wytańczyć słowa w balecie. Sztuka przecież to nic innego jak dialog, rozmowa ludzi, którzy poszukują różnych sposobów opisywania tego, co dzieje się w życiu, a przede wszystkim tego, co się dzieć powinno, a co na razie jest tylko i aż marzeniem.

Wacław Oszajca



Uzdrowienie

Miasteczko Zet nie wyróżniało się niczym szczególnym spośród setek podobnych miejscowości w całym kraju. Próżno by szukać jego nazwy w ogólnopolskich serwisach informacyjnych telewizji czy radia albo na stronach mających szerszy, niż lokalny zasięg gazet. Zresztą w prasie lokalnej też gościło rzadko. Przeważnie z okazji jakiegoś wypadku drogowego albo innego nieszczęścia. Nie ściągały do niego rzesze turystów, bo nie było tu ani wyjątkowo ciekawych zabytków, ani specjalnie atrakcyjnych warunków do wypoczynku. Po prostu wiało nudą. Od czasu, gdy dziesięć lat temu zamknięto Fabrykę Pił Tarczowych, jedyną żywicielkę większości spośród niespełna dziesięciu tysięcy mieszkańców Zet, życie miasteczka powoli, ale nieustannie zamierało. Wraz z fabryką zniknął miejscowy klub piłkarski, niegdyś chluba mieszkańców, gdy wygrywał kolejne mecze w klasie A. Bywały też sezony, że awansował nawet do ligi okręgowej. Teraz ławki na miejskim stadionie były przeważnie połamane przez poszukiwaczy darmowego opału, a boisko porastały chwasty. Wkrótce po klubie piłkarskim zamknięto też jedyne w mieście kino, bo bezrobotnych w większości Zetowian nie stać było na oglądanie filmów.

Niebawem jedyną rozrywką stały się tu pogrzeby, których z każdym rokiem było coraz więcej. Miasto starzało się w zastraszającym tempie. Młodzi ludzie, nie widząc dla siebie żadnych perspektyw, wyjeżdżali do większych miast albo za granicę. Ci, którzy zostawali, nie kwapili się do wydawania na świat potomstwa. Najlepiej widać to było w kościelnych statystykach odczytywanych

Andrzej Liczmonik – I nagroda



co roku z ambony podczas mszy w sylwestrowy wieczór. Ślubów było według tych statystyk w ciągu całego roku zaledwie kilka, chrztów jeszcze mniej, a pogrzebów - ponad pięćdziesiąt. Nic zatem dziwnego, że to, co wydarzyło się tamtej kwietniowej niedzieli, stało się sensacją, która zelektryzowała mieszkańców Zet bardziej, niż gdyby tu wylądowali przybysze z Księżyca.

Pana Matysiaka znali tu wszyscy. Każdego dnia przemierzał ulice miasteczka na swoim wózku inwalidzkim, zmierzając to do pobliskiego sklepu, to do kościoła, innym znowu razem do przychodni lekarskiej albo na pocztę. Blisko piętnaście lat temu uległ poważnemu wypadkowi podczas pracy w „tarczówce”, jak skrótowno nazywano tutejszy zakład. Od tamtego czasu wózek był jego jedynym środkiem lokomocji. Codziennie wyjeżdżał nim na miasto. Pozdrowiał życzliwie spotykanych po drodze ludzi, a oni odwzajemniali mu się podobną życzliwością. Często ten, czy ów przechodzień pomagał mu pokonywać uliczne krawężniki lub schodki prowadzące do tego czy innego budynku. Wszyscy przyzwyczaili się do widoku jego i jego wózka i nie wyobrażali sobie, żeby mogła w tym względzie nastąpić jakakolwiek zmiana.

Jakież więc było zdumienie wszystkich udających się na poranną mszę w następną niedzielę po Wielkanocy, zwaną białą albo przewodnią, gdy ujrzeli pana Matysiaka wchodzącego do kościoła o własnych siłach, bez wózka, ale też bez żadnej kuli czy laski. Natychmiast otoczyło go grono ciekawskich i zaczęło wypytywać, co takiego się stało, że znów chodzi o własnych siłach. Matysiak - człowiek z natury skromny i powściągliwy - czuł się mocno zakłopotany tym nagłym wzrostem zainteresowania jego osobą. Odpowiadał na pytania niechętnie i wymijająco, dając do zrozumienia, że wolałby już wejść do kościoła i się pomodlić, niż



Andrzej Liczmonik – I nagroda



tworzyć na zewnątrz zbiegowisko. Jednak ludzka ciekawość nie dawała za wygraną i w końcu dowiedziano się, że sprawcą tej niezwyklej przemiany był niejaki Pawelec, emerytowany ślusarz z „tarczówki”. Wywołało to konsternację nie mniejszą niż sam fakt cudownego uzdrowienia Matysiaka.

Pawelec nie cieszył się w miasteczku najlepszą opinią. Od czasu przejścia na emeryturę, najczęściej widywano go na ławeczce obok sklepu z napojami wysokowymi w towarzystwie zazwyczaj kilku opróżnionych już butelek po piwie, a nieraz także czymś mocniejszym. A że emerytura nie zawsze wystarczała mu na zaspokojenie wszystkich jego alkoholowych potrzeb, często próbował pożyczać pieniądze od dawnych kolegów z pracy i sąsiadów. Z tego powodu ludzie unikali go i nie darzyli sympatią. On się im odwzajemniał. Był opryskliwy i gburowaty. Nawet własne dzieci wstydziły się takiego ojca i nie utrzymywały z nim bliższych kontaktów. Miały zresztą do niego słuszny żal. Ich dzieciństwo, za sprawą jego zamiłowania do procentów w płynie, nie należało do łatwych. W kościele Pawelec bywał raczej rzadko. Za dużo, jego zdaniem, mówiło się tam źle o pijakach i nawoływało do trzeźwości. On odnosił te słowa do siebie i wolał nie narażać się na taki dyskomfort. Przychodził zwykle tylko na msze żałobne, gdy chowano kogoś z jego dawnych kolegów.

Tym razem jednak Pawelec był na niedzielnym nabożeństwie. Zauważono go i po mszy to właśnie jego, podobnie, jak wcześniej Matysiaka, otoczyła gromadka ludzi.

- Władek, podobno uzdrowiłeś Matysiaka. Jak to się stało?

- No, tak jakoś wyszło. Nawet nie przypuszczałem, że mi się uda.



Andrzej Liczmonik – I nagroda



- Ale co konkretnie zrobiłeś? Czary jakieś nad nim odprawileś czy co?

- A gdzie tam zaraz czary! - Obruszył się Pawelec - zwyczajnie podeszłem do niego, podałem mu rękę, powiedziałem, żeby wstał, a on naprawdę wstał i zaczął chodzić. To wszystko.

- Ale co ci przyszło do głowy, żeby to zrobić? Przecież tyle razy widziałeś Matysiaka...

- To było tak. W środę po południu zabrakło mi pieniędzy na piwo. Poszłem, wtedy do Stasi Pelczarowej, bo ona najczęściej mi pożycza. Ma kobieta dobre serce. Ale nie było jej w domu. Pomyślałem: dochodzi szósta, pewnie jest w kościele. Pójdę jej tam poszukać. Weszłem do kościoła, a tam ksiądz akurat czytał o tym, jak święty Piotr uzdrowił inwalidę przy bramie kościoła. Pomyślałem sobie: mógł święty Piotr, może mogę i ja. Trzeba spróbować. Wczoraj spotkałem na ulicy Matysiaka na wózku. No to spróbowałem.

W tym momencie sprawa przyjęła nieoczekiwany obrót. Na czoło grupy wypytywającej Pawelca wystąpiła pani Basia - zelatorka piątej róży parafialnego kółka różańcowego. Stała na wprost Pawelca, popatrzyła mu prosto w oczy groźnym, oskarżycielskim spojrzeniem i przemówiła surowym tonem:

- Jak ty, stary pijaku, śmiesz porównywać się do Świętego Piotra!? Toż to diabelska pycha! Ludzie! - Krzyknęła do zebranych na dziedzińcu kościoła. - To nie boską, tylko diabelską mocą dokonany cud! Diabeł za tym człowiekiem stoi! Odsuńcie się od niego, bo jeszcze was opęta!

- A co ty będziesz wyrokować, czy to Bóg, czy diabeł? - Wtrąciła się pani Krysia, zelatorka róży siódmej. - Diabeł nic dobrego

Andrzej Liczmonik – I nagroda



by nie zrobił, a przecież uzdrowienie człowieka to dobra rzecz. Lepiej uklęknij i podziękuj Bogu, że to na naszą parafię taka łaska spłynęła

- Słyszał kto kiedy, żeby przez pijaka Bóg cuda czynił? - Odparowała niespodziewany atak pani Basia. - Toć on prawie do kościoła nie chodzi! To nagle jemu miałyby Bóg taką siłę dać?

- Racja! - Krzyknął ktoś z zebranych. - Bóg pijakom nie błogosławi. To diabeł dokonał tego cudu.

- A ty to niby taka święta jesteś? - Odezwała się ponownie pani Krysia. - Myślisz, że ludzie nie pamiętają, jak w pośpiechu brałaś ślub z Tadkiem, bo twoje pierwsze było już w drodze?

- To był grzech młodości, który dawno odpokutowałam. Teraz żyję przyzwoicie i dzieci po bożemu wychowałam.

- Tak? Po bożemu? Włóczą się całymi dniami po mieście i nic nie robią. To ma być po bożemu?

- Ale przy domu są. I swojego pilnują. To nie ich wina, że teraz pracy dla nich nie ma. A twoje za granicę powyjeżdżały i tam się pewnie łajdaczą, jak nikt ich nie pilnuje.

- Ty stara jędzo! Ja ci dam „łajdaczą się”! Pracują uczciwie i pieniądze do domu przysyłają. Nie tak, jak twoje.

- Odczep się od moich dzieci. Ja już wiem, dlaczego ty tak Pawelca bronisz. Masz dużą chałupę z pustymi pokojami po dzieciach i myślisz, że jak zaczną się tu zjeżdżać pielgrzymki, to zarobisz na wynajmowaniu tych pokoi, ale ja wiem swoje: Bóg z pijakami nie trzyma, tylko z porządnymi ludźmi, co do kościoła co niedziela chodzą.

Rozmowa stawała się coraz gorętsza. Obie zaciekle niewiasty znalazły w gronie przysłuchujących się licznych zwolenników. Pawelec, korzystając z zamieszania, pospiesznie wycofał się i ukradkiem oddalił od kipiącego emocjami towarzystwa. Zrobiło mu

Andrzej Liczmonik – I nagroda



się przykro. Chciał przecież dobrze. Było mu żal Matysiaka jeżdżącego na wózku, dlatego powiedział mu, żeby wstał i skoro tak się stało, to chyba dobrze. Prawda, że często zaglądał do kieliszka, a w kościele bywał gościem, ale żeby zaraz diabeł? On na pewno żadnego diabła nie wzywał. Myślał o św. Piotrze i o tym, co usłyszał w kościele. To chyba nie było przeciw Bogu. Zresztą, kto wie? Za trudne to wszystko na głowę zwykłego ślusarza z „tarczówki”. Udał się do swojego domu, położył na tapczanie i zasnął.

Następnego dnia miasteczko kipiało od teologicznych sporów. Bóg czy diabeł? Rację ma Krysia czy Basia? - Dyskutowano zawzięcie w sklepowych kolejkach, na przystanku autobusowym i we wszystkich innych miejscach, gdzie zeszło się więcej niż dwoje ludzi. Podobnie było w kolejnych dniach. Sam Pawelec wolał unikać pokazywania się na mieście. Bał się zwłaszcza spotkań ze zwolennikami frakcji pani Basi. Nie bez powodu przypuszczał, że bliski kontakt z ludźmi, którzy posądzają go o diabelskie powinowactwo, mógłby dla niego źle się skończyć.

Także cudownie uzdrowiony Matysiak nie czuł się teraz najlepiej. Nie wiedział, czy cieszyć się z odzyskanej sprawności, czy martwić o to, za czyją sprawą się to dokonało. Był człowiekiem pobożnym i z całego serca nie chciałby stać się uczestnikiem jakichś diabelskich knowań, ale z drugiej strony przecież chodzi, jest sprawny, po tylu latach spędzonych na wózku.

Wkrótce w jego życiu pojawiły się jednak zupełnie inne problemy. O całej sprawie dowiedział się powiatowy oddział ZUS. Wezwano go na ponowną komisję lekarską. Stwierdzono ustanie przyczyny, dla której przyznano mu niegdyś rentę i odebrano ją. A że w Zet nawet młodszy i zdrowszy od niego nie mieli szans na pracę, musiał zadowolić się zasiłkiem z opieki społecznej i, żeby choć

Andrzej Liczmonik – I nagroda



odrobinę poprawić swoją sytuację bytową, zajął się zbieraniem puszek.

Poważny dylemat miał też miejscowy proboszcz. Początkowo ucieszył się na wieść o dokonanym w jego parafii cudzie i oczyma wyobraźni widział już, jak skromny kościółek będący w jego zarządzie przekształca się w lokalne, a może nawet ogólnokrajowe sanktuarium, do którego będą ściągać rzesze pielgrzymów. Gdy, jednak, dowiedział się o powstałych kontrowersjach wokół ostatecznego autorstwa tego cudu, zaniepokoił się. Parafia wyraźnie mu się dzieliła. Wzrastające napięcie groziło powstaniem lokalnej schizmy, a do tego przecież nie mógł dopuścić.

W następną niedzielę, podczas nabożeństwa, próbował coś w tej sprawie wyjaśnić, apelował o rozsądek i zachowanie spokoju, ale, gdy zorientował się, że to nie odnosi skutku, postanowił o całej sprawie zawiadomić biskupa. Wkrótce też przyjechał z kurii uczony teolog mający zbadać sprawę na miejscu. Ten przesłuchał dokładnie Matysiaka i Pawelca. Zapoznał się też z opiniami pani Basi i pani Krysi. Na koniec stwierdził, że jest jeszcze za wcześnie, aby Kościół zajął w tej sprawie jednoznaczne stanowisko i wyjechał.

Dalszy ciąg tej historii ułożył się już dużo mniej sensacyjnie. Matysiaka, od ciągłego schylania się po puszkę, zaczął wkrótce znów boleć kręgosłup. Po kilku miesiącach okazało się, że musi z powrotem usiąść na wózku inwalidzkim. ZUS ponownie przyznał mu rentę i jego życie wróciło do wypracowanej przez ostatnie lata normy. Pawelec nie próbował już nikogo więcej uzdrawiać, pomny zamieszania, jakie jego poprzedni wyczyn wywołał w miasteczku. Zresztą, jeśli miałyby istnieć jakiekolwiek wątpliwości czy to Bóg czy diabeł, to lepiej nic nie robić. Z diabłem Pawelec nie chciał mieć nic wspólnego. Na tyle tylko zmienił swoje postępowanie, że teraz



Andrzej Liczmonik – I nagroda



znacznie rzadziej spotkać go było można na ławeczce przed sklepem monopolowym, a częściej w ławce kościelnej. Jednak na nabożeństwa przychodził zawsze ostatni, siadał z tyłu tuż przy wyjściu i pierwszy wychodził. Nie chciał nikomu rzucać się w oczy.

Ludzie stopniowo zapominali o całej sprawie. Przytłoczeni ciężarem nowych, przyziemnych problemów nie mieli głowy do teologicznych dywagacji. Znow widzieli Matysiaka na wózku, więc cudu jakby nie było. Nie ma o czym mówić. Tylko pani Basia i pani Krysia nadal na swój widok przechodziły na różne strony ulicy, a w kościele zajmowały zawsze miejsca po przeciwnych stronach, żeby przypadkiem nie przekazać sobie znaku pokoju. Dla nich ciągle było ważne, czy cudownego uzdrowienia Matysiaka dokonał Bóg czy diabeł. Ale Główni Zainteresowani przez cały czas zgodnie na ten temat milczeli.





Urodziny

I znowu jesteś w proszku. Wspinasz się po schodach. Wleczesz noga za nogą. Nie wchodzisz wyżej niż na półpiętro. On mieszka na pierwszym piętrze. Po drodze wyblakła szarość złuszczonej lamperii. Na schodach gumolit koloru popiołu. Widzisz? Stęchlizna.

Suchość w gardle. Lepkość poręczy. Czujesz? Przyśpieszony oddech. Dzwonienie w uszach. Słyszysz? Wilgotne opuszki palców. Puls uderza w czoło. Na ulicy powietrze stoi. Zaraz coś ci się przywidzi. Jakbyś przekraczał granicę ośmiu tysięcy metrów. Dalej wspinasz się już tylko w swojej głowie. Tak było.

On ma swoje życie. 25 kwiecień. Twoje trzydzieste pierwsze urodziny. Jego siedemdziesiąte urodziny. Przyjedziesz - jak ostatnio - pociągiem 2.20 z Wrocławia. O piątej rano wysiądziesz znowu na dworcu w Poznaniu. Tak będzie. Tak będzie?

Każdy twój gest pokazuje, że wychowałeś się bez ojca. Matka umarła w zeszłym roku. Już nie ma kto ci tego wszystkiego jeszcze raz opowiedzieć. Zostałeś sam. Więc sam sobie opowiadasz. Czego ci nie powiedziano, musisz sobie dopowiedzieć. Może wcale nie pojedziesz tym pociągiem.

Z końcem lat osiemdziesiątych przeprowadziliście się z Poznania do Wrocławia, tak ci opowiadała, bo nie możesz tego pamiętać. Uciekliście, tak ty to nazywałeś. Nie wiesz, czy was szukał. Zamieszkaliście w starej, ponemieckiej kamienicy przy Placu Staszica. To było mieszkanie komunalne. Obok właśnie budowali plombę.

Krzysztof Chronowski – II nagroda



Jako dziecko chciałeś wiedzieć. Mogłeś sobie tupać nogami, zdzierać głos, kłaść w poprzek chodnika, czy co tam ci przyszło do głowy, ale nie dostałeś nic, nawet kłamstwa. Później bałeś się pytać. Powiedziałeś sobie, że jak skończysz osiemnaście lat, to wtedy już się nie cofniesz, zdobędziesz się na odwagę, będziesz pytać aż do skutku, choćby miało to boleć was oboje. Ciskałeś się w środku. Mógłbyś się zatchnąć samym sobą. Ale zdarzyło się niespodziewane. Kiedy pewnego razu usłyszałeś jego głos w słuchawce nie byłeś na to przygotowany. Przysięgłbyś, że nigdy nie słyszałeś takiej barwy. Jakby dobywał się z dna studni.

Chwilę po tym jak powiedziała ci jego imię, pierwsze co zrobiłeś - a odbyło się to poza tobą, tak, jakbyś w ogóle w tym nie uczestniczył - to pobiegłeś do empiku, wziąłeś pierwszą z brzegu książkę i wcisnąłeś się w pufy między regałami. Czytałeś bezrozumnie. Była w tym jakaś nieznaną ci mechanika, jakaś siła odśrodkowa, która wypchnęła cię już na zawsze z twojej trajektorii. Nie wróciłeś na noc do domu, chociaż nie miałeś gdzie pójść. Nie potrafiłeś nazwać tego, co czułeś. Nie pamiętasz gdzie byłeś.

On nosi imię swojego ojca i swojego dziadka. Ty nie nosisz jego imienia. Nie wiesz, czy by chciał, żebyś nosił jego imię. Niewiele wiesz na pewno. Na razie tylko go sobie opowiadasz. Byłeś zachłanny, bałeś się, ale byłeś zachłanny. Słuchałeś. Ona powiedziała, że nie ma sensu, żebyście się spotkali. Jesteście sobie obcy. Życie to ciągle wybory, te trudne także. Jesteś podobny do niej, nie do niego. Jego masz tylko chód. Obaj kołyszecie się na boki. Nie będziecie mieli o czym rozmawiać. On ma swoje życie. Dziecko nie powinno żyć bez matki, w ostateczności może żyć bez ojca, tak ci mówiła, i ty w to uwierzyłeś. To była prawda tylko w połowie.

Krzysztof Chronowski – II nagroda



W pociągu (a więc jedziesz tym pociągiem!) przypomina ci się, że jak byłeś mały to widziałeś sąsiada, który powiesił się w oknie na lufciku. Wyglądał jakby stał, głowę miał lekko przekrzywioną na bok. Z dłońmi opartymi o parapet przypominał pianistę zastygłego w trakcie wygrywania akordu. Oczy miał otwarte i wydało ci się, że spogląda właśnie na ciebie. Skąd ten pomysł, żeby wieszać się w oknie? Nie mogłeś tego pojąć. Ty na pewno nie zrobiłbyś tego w ten sposób. On rzeczywiście patrzył na ciebie.

Swoją pierwszą miłość śledziłeś tylko wzrokiem. Ledwie dosięgałeś podbródkiem do parapetu na balkonie, tak aby móc ukradkiem spoglądać na ulicę. Biegała z dziećmi z sąsiedztwa, a ty wspięty wysoko na palcach stałeś i patrzyłeś. Byłeś półprzytomny, nie wiedziałeś co się z tobą dzieje. Potrafiłeś tak stać całymi popołudniami. Ani razu nie wyszedłeś do niej. Kiedy dorosłeś, większość kobiet traktowało cię jak najlepszego przyjaciela. Umiałeś słuchać, właściwie bez przerwy tylko to ciebie zajmowało. Albo patrzyłeś, albo słuchałeś. Myślisz, że wszystkie kobiety są jak Elfriede Jelinek.

Twoim wzorem mężczyzny był ojciec jednego z kolegów. Chciałeś być jak on. Chciałeś NIM kiedyś zostać. Przyjąłeś jego imię na bierzmowaniu. Potrafił wszystko naprawić. Był konstruktorem. Panował nad rzeczywistością. Był jowialny. Odkąd poznałeś co oznacza to słowo, kojarzy ci się ono wyłącznie z nim. Wiesz jednak, że dzisiaj jest inny, ale nie ma to już dla ciebie znaczenia. Po drodze zdarzyła się już połowa twojego życia. Nie chcesz mieć dzieci. Nie wiesz czym mogłaby być taka częśćka ciebie, bo sam czujesz się tylko częścią. Lepiej nie ryzykować. Tak myślisz.

Ostatni raz widziałeś syna wtedy, kiedy zerwała z tobą kontakt i powiedziała, żebyś wrócił do rodziny. Nigdy nie chodziła na



Krzysztof Chronowski – II nagroda



kompromisy. Zawsze stawiała na swoim. Była silniejsza. Dopóki nie skończył dwóch lat, do wtedy pozwalała ci się czasami z nim widywać, ale w końcu musiałeś go pozostawić na tym dywanie, został mu w ręce przynajmniej wóz drabiniasty od ciebie.

Kiedy tylko wyjechała z waszym dzieckiem, szukałeś ich. Ale nie mogłeś zdawać sobie sprawy z tego, że tak naprawdę to bałeś się ich znaleźć. Trafiłeś na nich dopiero jak założyli sobie telefon, po numerze z książki telefonicznej. Co roku zamawiałaś nową. Kiedy ich odnalazłeś, odrzuciła cię jeszcze raz. Spodziewałeś się tego. Twoja żona ciężko chorowała, zmarła w zeszłym roku. Nigdy nie dowiedziała się ani o niej, ani o twoim synu. Nigdy nie dowiedziała się też kogo naprawdę kochasz. Nie można ci było pozwolić, żebyś zostawiał ich pięcioro. Bo ty naprawdę chciałeś to zrobić.

Jesteś pogrobowcem. Ty też swojego ojca nie znałeś. On w mundurze w medalionie na płycie nagrobnej z lastriko ma zaczesane wysoko włosy, jest młody, chłopięcy, może mieć z szesnaście lat. Wyjęty z lasów Lubelszczyzny, kto go tam wie czy z Batalionów Chłopskich, Armii Ludowej czy Armii Krajowej, czy był wyklęty, czy wyklinał. Na tych terenach działo się wszystko. Twoja matka nigdy nie chciała o nim rozmawiać. Nie wyczuwałaś w niej ani niechęci, ani smutku. Po prostu nie chciała o nim rozmawiać. Nie wiedziałaś, jak miałeś to sobie tłumaczyć. Do dzisiaj tego nie wiesz.

Pewnego październikowego dnia 1946 roku, tuż po południu zabójca twojego ojca przyjechał do waszego domu na rowerze. Przez ramię miał przewieszony karabin. Ale strzelił do twojego ojca ze schowanego pod koszulą pistoletu. Strzelił mu w policzek i szyję. Krwi nie można było do końca zmyć z podłogi przez wiele lat. Wsiąkała głęboko. Osiem miesięcy później się urodziłeś.



Krzysztof Chronowski – II nagroda



Zabójca żyje nadal w twojej rodzinnej miejscowości, ma dziewięćdziesiąt cztery lata. Kiedy ogłosili amnestię wyszedł z lasu. Wszyscy wiedzieli, że zabił nie tylko twojego ojca. W sąsiednich wsiach zastrzelił jeszcze kilkoro ludzi. To były czasy tuż po wojnie, nie wiedziało się, czego się po kim można było spodziewać. Kto do kogo należał? A może to właśnie wiedziano bardzo dobrze? Słyszałeś, że byli tacy, co nie podarowali, co mieli się mścić. Jedna z jego córek utonąła w pobliskim zalewie. Dwóch synów zginęło w wypadkach na kolei, każdy w innej części kraju. Ty jak byłeś na przepustce z wojska, miałeś przecież broń za pasem, też mogłeś..., ale tego nie zrobiłeś. Musiałbyś chyba wiedzieć dlaczego. Ale nie wiedziałeś. I ciągle nie wiesz. Tam został jedynie twój brat. Ty stamtąd uciekłeś. Ale nie da się uciec od tego, co się ma w głowie.

W części usunąłeś sobie tatuaże z młodości. Zrobiłeś je sobie w internacie. Wstydzisz się ich. Nigdy nie zakładałeś krótkich spodni, zwłaszcza że przez długie lata nosiłeś mundur, więc tylko zostawiłeś sobie na pamiątkę pod kolanem: *Hate and War*. Zabawne, bo przecież nie jesteś żadnym wywrotowcem.

Kiedy wysiadasz na peronie, wydaje ci się, że powietrze się przerzedziło. Oczywiście to nieprawda. Ciemność ociera się jeszcze o płyty chodnika. Czujesz się, jakbyś był bohaterem powieści ukazującej się w odcinkach. Zeszły rok? Teraz? Wczoraj? Dzisiaj? Pojawiasz się cyklicznie na tym dworcu. Jesteś osobliwym periodykiem. Masz wrażenie, że wszyscy wiedzą gdzie idziesz, chociaż o tej porze mija cię niewiele osób. A ty wiesz gdzie idziesz? Jak u Pereca, w głowie rozważasz możliwe kierunki działania. „Muszę przyjść pierwszy, zanim wszyscy zaczną się schodzić” - myślisz. Ale co potem? Tego nie wiesz. Teraz powinien mieszkać



Krzysztof Chronowski – II nagroda



sam. Jego żona nie żyje, widziałeś nekrolog w gazecie. Jego córki są starsze od ciebie. On ma już wnuki.

Stajesz w bramie. W głębi widać zarys klatki schodowej. Tehnie z niej zapach piwnicznej wilgoci. Bierzesz głęboki oddech i długo trzymasz go w płucach. Powtarzasz to kilka razy. Opanowujesz drżenie kolan. Wchodzisz po schodach. Wleczesz noga za nogą. Po drodze znów szarość złuszczonej lamperii. Wyblakła jeszcze bardziej. Na stopniach gumolit koloru popiołu. Stęchlizna. Suchość w gardle. Lepkość poręczy. Przyśpieszony oddech. Wilgotnieją ci opuszki palców. Puls uderza w czoło. Na ulicy nieruchome powietrze. Jesteś na granicy ośmiu tysięcy metrów. Robisz nieznaczny krok do przodu. Tym razem wchodzisz na piętro. Stajesz przed drzwiami. Dzwonienie w uszach.

Jednak pukasz do drzwi. Nie ma dzwonka. Jest staroświecka kołatka, tuż poniżej wizjera. Pukanie wydaje głuchy odgłos. Słyszysz kroki za drzwiami. Czujesz swoje serce na języku.

Gdy cię widzi nie cofa się. Spozrzegasz, że ma mniej siwych włosów niż ty. Przez usta przechodzi ci tylko:

- Matka umarła.

On usuwa się w głąb przedpokoju. Robi ci miejsce.

Siedzicie w pokoju gościnnym. Pomieszczenie jest wąskie z kwiecistą tapetą i sztukaterią. Z sufitu zwiesza się trójramienny żyrandol, zakończony fikuśnymi, zakurzonymi kloszami. Są upstrzone czarnymi plamami. W samym centrum pod lampą kilka much kręci się w kółko. Wzdłuż ściany naprzeciwko stoi przeszklona meblościanka pełniąca funkcję biblioteczeki, kredensu i szafy na ubrania.

On ma na nosie okulary w rogowej oprawie. Dłonie kładzie na blacie, jakby chciał, żeby pozostały na widoku. Spod skórzanej

Krzysztof Chronowski – II nagroda



kamizelki wystają mu parciane szelki. Przychodzi ci na myśl, że wygląda jak taksówkarz. Nie mówisz mu tego. Milczycie obaj. On o nic nie pyta. Jesteś zdziwiony, że nie ciąży tobie to milczenie. Stół jest przykryty haftowanym obrusem, który wydaje ci się być bardzo odświętny. Są dwie szklanki w metalowych koszyczkach. W porcelitowej cukiernicy górka cukru w kostkach.

Po chwili wstaje i wychodzi z pokoju. Kiedy wraca, na plastikowej tacy niesie dwa ceramiczne imbryki. Kładzie je przed tobą na stole. Podchodzi do meblościanki. Ma spodnie uprasowane na kant, dopiero teraz to zauważasz. Nie widzisz dokładnie co robi, bo zasłania sobą wnękę, która najwidoczniej jest barkiem, ale słyszysz brzęk szkła. Obraca się, zamyka barek. Stawia na stole dwa kieliszki i kryształową karafkę. Koniak. Mógłbyś się tego spodziewać.

Drapie cię w gardle. Wiesz, że on nie zacznie rozmowy.

- Uwierzyłeś, że to naprawdę ja? - Mówisz powoli, niepewnie. Przeciagasz sylaby. Dopiero po chwili słyszysz twoje własne słowa.

- Kto mógłby przyjść w ten właśnie dzień o tej godzinie? Wiedziałbym nawet wtedy, gdybym nie spojrział ci w oczy. - Odpowiada ci bez namysłu. Odnosisz wrażenie, że czekał właściwej chwili, aby móc to właśnie powiedzieć. Słowo w słowo.

Czy to t e n sam głos? Jak wtedy? Jakby ze studni? Niezupełnie ten sam. Starszy, wiadomo. Taki sam. Tego samego rodzaju.

- Naprawdę ją kochałem. Twoją matkę. Ona o tym wiedziała. - Podejmuje ostrożnie, prawie szeptem. - Coś czułem, że z tym przychodzisz. To znaczy, że przychodzisz także z jej śmiercią. Że wtedy może dopiero się zdecydujesz tu przyjść, gdy jej już nie będzie. - Wzdycha - Co jej było?



Krzysztof Chronowski – II nagroda



- Nic.

Patrzy na ciebie.

- Po prostu pewnego dnia już się nie obudziła. Serce jej stanęło.

Jego dłonie nie ruszają się z miejsca. Wzrok ma wbity w stół. Patrzysz na niego uważnie. Widzisz, że coś w nim się dzieje. Szczęki drgają mu pod skórą.

- Rok w rok przeczuwałem, że przyjdiesz. Że to po prostu musi się stać. - Rozpoczyna nieoczekiwanie. - Przynajmniej od wtedy, od kiedy jesteś dorosły. Ty może liczysz to inaczej, dla mnie jest to szesnasty rok życia. Wiek, w którym sam opuściłem dom i pojechałem do technikum z internatem. W zeszłym roku tak jakby najmocniej czułem to, że przyjedziesz.

Namacalnie. Prawie jakbyś tu był, albo przynajmniej całkiem blisko, na wyciągnięcie ręki... Dlatego - bierze głęboki oddech, tobie robi się gorąco - możesz się z tego śmiać, ale jak widzisz, tak jak w zeszłym roku, tak i teraz miałem już zaparzoną i herbatę i kawę. - Wskazuje na postawione imbryki. - Nie wiedziałem, co możesz pić, ale myślałem, że na pewno przynajmniej albo jedno, albo drugie.

- Jak myślisz, ile razy rozgrywałem sam ze sobą tę rozmowę?
- Rzuca ci badawcze spojrzenie. Rzeczywiście, bardziej jesteś podobny do matki, ale w jego oczach, o wiele jaśniejszych niż twoje, dostrzegasz coś jakby znajomego. Wspólnego. Nie odpowiadasz, więc mówi:

- Ostatnimi czasy prawie codziennie.

-I idzie według planu?

- Mniej więcej - robi krótką pauzę, po czym dodaje - bałem się, że najpierw zapytasz, czemu pierwszy nie przyjechałem, a ja nie będę miał na to zadowalającej odpowiedzi.

Krzysztof Chronowski – II nagroda



- A więc dlaczego pierwszy nie przyjechałeś? - Udajesz, że patrzysz na cukiernicę, a tak naprawdę patrzysz na jego dłoń. Na serdecznym palcu prawej dłoni ma ślad po obrączce.

- Teraz to już tylko ty możesz... Wszystko zależy od ciebie. Możesz... - poprawia się - musisz mną dysponować. Przecież jeszcze jakby się okazało, że także i ty...Chcieć musisz poza wszystkim ty. Ty.

- To jest takie, takie wyjątkowe, takie jedyne w swoim rodzaju, że urodziliśmy się w tym samym dniu. - Przykrywa drzenie głosu, raz po raz próbując jakby coś odchrząkiwać - W latach kiedyśmy się rodzili to były dodatkowo lata przestępne, jak by nie patrzeć los miał o jeden dzień więcej do dyspozycji, a stało się jak się stało! - Zapala się, w końcu prawie wykrzykuje - Mów co chcesz, ja zawsze uważałem, że to musi coś znaczyć!

- Na pewno to najbardziej niezwykła rzecz, jaka mi się przytrafiła - mówisz w zamyśleniu.

- Nam się przytrafiła. - Uderza otwartą dłonią w stół, słyszysz, że łyżeczki do herbaty podzwaniają o blat. - Ile razy patrząc w ten sam księżyc mogliśmy myśleć naraz o tym samym. No jak ci się wydaje? Co? No! Najmniej, najmniej raz w roku, do cholery!

Nie wiesz jak masz się do niego zwracać. Jak ognia unikasza nazwania go. Nawet po imieniu. Sprawia ci to trudności, ale wysmykujesz się. Na razie to wystarczy.

- A twoje córki, co one wiedzą?

- Od śmierci mojej żony wiedzą o wszystkim. To znaczy o wszystkim, o czym ja wiem. Gośka, ta najmłodsza, to nawet ciebie widziała, oczywiście z daleka, parę razy pojechała do Wrocławia, strasznie była ciekawa, nie mogę im tego zabraniać, mam nadzieję że tobie to... No, nie chciałbym, żebyś, no wiesz, że niby ktoś miałby



Krzysztof Chronowski – II nagroda



ciebie oglądać, jak w ...No sam wiesz, to w żadnym razie nie o to chodzi!

- A pozostałe?

- Nie chcą. Boją się. Mają żal. Wszystko naraz. - Odpowiada. Chwilę jakby zbierał myśli, po czym mówi:

- Chcesz wiedzieć, to ci powiem. Zresztą dlaczego tu jesteś, jak nie po to, żeby właśnie tego wysłuchać? Oto jest moja część historii. - Ze świstem wciąga powietrze. - Dziewczyna zaszła ze mną w ciążę. Zналиśmy się raptem dwa tygodnie! Tak, gdzieś koło tego, może dłużej, może krócej, to bez znaczenia. Mieliśmy oboje po dziewiętnaście lat. To już miało wielkie znaczenie! Krew jest głupia, durna, ale gorąca, do cholery! Sam musisz to wiedzieć! - Wilgotnieją ci opuszki palców. - I wtedy mi matka powiedziała, wiesz co? Ona mi powiedziała tak: *Jeżeli to twoje dziecko, to się żeń! Jeśli nie twoje, to się nie żeń?* Prosta wiejska mentalność! Prosta wiejska logika! Druzgocąca dla takiego gówniarza, jakim byłem! Ale jednak! Żadnych kalkulacji, w tę, albo we w tę! Z mojej linii wszyscy byliśmy i jesteśmy prości ludzie! Wiesz sam, mówi mi matka, ty żeś się wychowywał bez ojca, wiesz jak to jest, i czy więc tego samego będziesz chciał dla s w o j e g o dziecka!?! Ona się mnie pyta! O! Gdyby ona wiedziała, jakie to będzie miało kiedyś znaczenie! Ty możesz mieć na to wpływ, mówi mi. I wziąłem ślub. A jakże! Ożeniłem się. Weselisko wyprawili mi ogromne, sam tłukłem hołubce jak głupi, szczyrzyłem się do wszystkich jak idiota, od ucha do ucha, nie wiedząc, jakie życie nas będzie czekać. Że n i c nas tak naprawdę nie będzie czekać. Bo to od samego początku było n i c. To znaczy z nią. Z tą moją żoną. Ale Baśka, moja najstarsza córka, jak jej o tym powiedziałem, to dała mi w twarz. Bo to z nią była wtedy w ciąży. Dziecko to dziecko, co ono winne, każde z moich kocham. To

Krzysztof Chronowski – II nagroda



piękne i straszne. - Patrzy ci głęboko w oczy - Ty wiesz, że mój ojciec zginął. Na pewno! Musisz to wiedzieć. A ja żyłem. No i stało się. Zobacz, co ja wam wszystkim zrobiłem. I tak to poleciało, własnym rozpędem, coraz dalej i dalej, jak ta kula śniegowa...

Mówi ci jeszcze bardzo wiele. Opowiada o twojej matce. Mówi, że was szukał, że znalazł, i że znowu musiał was zostawić. Mówi, że ona była jego życiem, choć prawie przez całe to życie musieli być od siebie daleko. Że ona mogłaby z nim zrobić wszystko. Mogłaby z niego zrobić człowieka. W części jej się to nawet udało. On musiał to wszystko zrozumieć. On musiał to przyjąć. On nie oczekuje, że ty będziesz chciał to przyjąć. Ale chciałby, żebyś go wysłuchał. A więc słuchasz, to ci zawsze najlepiej wychodziło.

Czujesz się jak zamroczony. Na przemian uderza cię zimne i gorące powietrze. Nie wiesz, co o tym wszystkim myśleć. Za dużo tego naraz. Jednym haustem wypijasz kieliszek koniaku. On patrzy na ciebie. Uśmiecha się. Za oknem już jest całkiem jasno. Słyszysz pukanie do drzwi.



Pieskie życie

Już widziałem ten tunel, to światełko błyszczące tak cholernie jaskrawo, jakby bało się, że zostanie niezauważone, i już prawie całowałem się ze śmiercią, kiedy naraz wszystko znikło i ocknąłem się. Nad sobą zobaczyłem psa, który lizał mnie po mordzie. Potem poczułem drżenie ziemi i zorientowałem się, że leżę na torach. Chciałem się zerwać i uciekać, ale nogi miałem zmiążdżone, a ręce jak z waty. Na nowo zobaczyłem ten tunel i to światełko, i na nowo szykowałem się do pocałunku śmierci, kiedy ten ziejący nade mną kundel, chwycił mnie za kołnierz koszuli i w ostatniej chwili przeciągnął na nasyp. Pociąg trąbiąc, mignął mi przed zamglonymi oczami i zaraz zemdlałem.

Obudziłem się w białej sali, podpięty pod jakieś piszczące sprząty. Zawołałem pielęgniarkę, a ta oznajmiła mi, że znaleziono mnie przy torach, że amputowano mi prawą nogę, ale żebym się nie martwił, przyzwyczaję się. Poczułem jak cała krew gromadzi mi się w żołądku, jak jakaś gula staje mi w gardle i nie mogłem uronić ani pół łyżki, która przyniosłaby mi ulgę. Czułem się, jakbym konał sekundę po losowaniu wyników totka, trzymając zwycięski kupon w rękę. Wdychałem słodki zapach środków dezynfekujących, a pieprzony żal, że tak wielu rzeczy nie zrobiłem, że z tak wieloma rzeczami zwlekałem, że odkładałem, że przekładałem, czekając na lepsze czasy, wyżerał mnie od środka. Kiedy już na dobre się przekłamałem, poczułem coś zimnego na dłoni. Odsunąłem ją mechanicznie i zobaczyłem go ponownie. Stał przy łóżku jakby matką moją był i czuwał nade mną.

Aleksandra Caban – III nagroda



Nazwałem go Lizak. Nikt nie wiedział jak wszedł do mojej sali i nikomu też nie dał się z niej wygonić, choć próbowano różnych sztuczek. Pilnował mnie całymi dniami, gdy dochodziłem do siebie i tylko lizał mnie, jakby głaskał, jakby chciał powiedzieć, że jest, że mogę czuć się bezpiecznie, że przecież jeszcze nie umarłem, że póki oddycham mogę wszystko. Po paru dniach zacząłem mu wierzyć i żyć irracjonalną nadzieją topielca chwytającego się brzytwy.

Wkrótce wypisano mnie, ubierając w caritasowe łachy, dając plastikowe kule i wystawiając gigantyczny rachunek, gdyż ubezpieczony nie byłem. Gdy wykuśtykałem ze szpitala, on wyszedł razem ze mną i razem ze mną stał, gapiąc się w horyzont, który wyblakłą farbą malował przyszłość. To była minuta próby, w której ten delikatny płomyček nadziei zachwiał się. Zrozumiałem, że jestem nikim więcej jak kaleką bez domu, bez rodziny, bez przyjaciół, bez pracy, w nieznanym mieście, z ogromem długów, które z każdym dniem mają rosnąć i rosnąć. Stałem i zastanawiałem się, co dalej, Nic nie wymyśliłem, więc po prostu jak każdy nędzarz pokulałem przed siebie.

Jednak mimo wszystko, starałem się jeszcze sprostać życiu, więc zacząłem szukać pracy, ale jej nie było, a jeśli już była, to nie dla mnie - łaхудry bez krawata i nogi. Zacząłem żebrać. Z początku ludzie wrzucali mi jakieś miedziaki, ale po dwóch dniach przejadłem im się i nawet tych groszy żałowano mi. Powoli stawałem się głodny i zziębnięty, bo nadeszła jesień i noce w zaroślach przy plaży były lodowate. Nawet Lizak, choć miał bujne futro, zaczął się trząść. Myślałem żeby kraść, ale nie miałem wprawy w poruszaniu się i bałem się, że wpadnę i stracę te zrzynki wolności, choć w więzieniu przecież byłoby mi lepiej. Wróciłem, więc znowu do żebrów, ale ludzie już nie spoglądali na mnie. Czasem ktoś podszedł, pogłaskał Lizaka i rzucił mu jakiś ochłap. Lizak wtedy zerkał na mnie i czekał,



Aleksandra Caban – III nagroda



aż podzielę tę resztówkę wybełtaną w piachu chodnika i dam mu jego połowę. To były nasze śniadania, obiady i kolacje. Piasek zgrzytał, a kawałeczek chleba czy bułki, gubił się między zębami. Nie dawało, to nic więcej poza wzmagającym uczuciem głodu, ale jedliśmy te okruszki by, choć jedną tysięczną kalorii dziennego zapotrzebowania dostarczyć naszym organizmom. Lizak miał lepiej, bo czasem dostawał kości. Ale i wtedy nie zapominał o mnie. Pozwalał mi oblizywać je i wysysać z nich szpik.

Lecz w końcu przyszły i takie dni, kiedy nie mieliśmy ni okruszki. Nasze żołądki kurczyły się niesłychanie, trawiąc same siebie, a my mdleliśmy z wycieńczenia. Zacząłem zbierać pety, choć wcześniej nigdy nie paliłem. Wyrzebywałem je z koszy i z popękanych płyt, wydłubywałem z nich tytoń i zawijałem w skrawek jakiegoś znalezionej papieru. Tylko o zapałki musiałem się prosić, a tego nie lubiłem, bo zazwyczaj ludzie odganiaли mnie od siebie nim zdążyłem się odezwać. Ale jeśli już ktoś zlitował się nade mną i zapalił mi tego bidowego skręta, wypalałem go i przez godzinę miałem spokój, bo nie czułem tego przekłętą głodu, który chylił mi kręgosłup jak staremu dziadowi. Lizak zaczął chudnąć, ja już dawno mogłem grać sobie na żebrach. Czasem zastanawiałem się, dlaczego on przy mnie jest, dlaczego się mnie uczepił, o co mu chodzi. Przecież mógłby sobie pójść tam skąd przyszedł, albo znaleźć sobie innego, bogatego pana, który nażarłby go i utuczył jak dzika. Ale mimo, że próbowałem go kilkakrotnie przepędzić, on ciągle chodził przy mojej kuli. Tak mijały nam dni w głodzie i chłodzie, gubiąc gdzieś pomiędzy sobą nadzieję, i powoli zapominałem, że kiedyś byłem człowiekiem.

W dłoni trzymam zardzewiały nóż. Lizak śpi obok ogniska, które nieco łagodzi mroźny wiatr ciągnący od morza. Patrzę na skaczące



Aleksandra Caban – III nagroda



iskierki. Ssie mnie w żołądku, a na języku czuję smak głodu. Podchodzę bliżej ognia. Pies podnosi łeb, jakby wyczuwał jakieś niebezpieczeństwo. Spogląda na mnie, ale ja nie reaguję. Po chwili kładzie łeb na łapie i zasypia. Z całych sił, które udaje mi się wykrzesać, ściskam rękojeść noża i pochylam się nad nim. Sh sze ;egc oddech. Nie ma już czasu, nie ma już sumienia, jest tylko głód. Głód, który kieruje moja dłoń dzierżącą majcher wprost w jego szyję. Widzę jak otwierają mu się oczy, jak błyskają zdziwieniem i jak chwilę później gasną. Krew plami nogawki moich spodni i krzepnie na butach.

Skalpuję psa skostniałymi dłońmi, które drżą z podniecenia. Jeszcze chwila, jeszcze dwie i nadziewam wyrwane mięcho na naostrzony patyk jak niegdyś na koloniach nadziewało się ziemniaki. Tłuszcz razem z krwią skwierczy w ogniu. Powoli czuję zapach pokarmu, zapach życia, choć ze śmierci. Gorące mięso kładę na gazecie. Patrzę na nie, robię znak krzyża i zaczynam jeść. Parzy mnie w usta, ale ani na moment nie przerywam jedzenia. Po tygodniach głodówki mięso smakuje wybornie. Mam wrażenie, że nie ma nic lepszego na świecie. Kończę jeden kawałek i przyrządzam drugi. Powoli żołądek wypełnia się i mimo chłodu ogarnia mnie przyjemna senność. Zasypiam.

Budzę się zziębnięty, ale w końcu silny. Obok leży skóra psa. Teraz, za dnia, wygląda strasznie. Odwracam głowę by na nią nie patrzeć, ale coś ściska mnie w jeszcze pełnym żołądku i robi mi się niedobrze. Podnoszę kule i przeciągam psie ciało do morza, potem odchodzę w stronę miasteczka. Siadam na ławce przy najruchliwszym deptaku i oglądam biegnących do trumien ludzi. Są tacy ładni, modni, pachnący. Chce mi się pić, ale nie mam pieniędzy. Kalkuluję, co robić. W końcu wstaję z ławki, przechodzę kawałek i siadam pod witryną sklepu. Wystawiam kubeczek po śmietanie, do



Aleksandra Caban – III nagroda



którego nie raz zbierałem wodę z rynien i czekam, aż ktoś się szarpnie na pięć groszy. Nikt na mnie nie zwraca uwagi. Wiem, że wyglądam okropnie i sam sobie pewnie nie dałbym wióra, ale teraz to nie ma znaczenia. Zimno wsiąka mi w kości, zaczynam się trząść. Modłę się o pięćdziesiąt groszy; pięćdziesiąt groszy, które da mi pół litra wody mineralnej, którą będę mógł pić przez dwa dni. W końcu po godzinie ktoś podchodzi. Patrzy się na mnie jakimś nieznośnym spojrzeniem.

- Gdzie ma pan psa? - odzywa się głosem pełnym pretensji.

Poznaję go; czasem dawał Lizakowi kości nadające się bardziej na żyletki niż pokarm.

- Uciekł - odpowiadam.

- Kości przyniosłem - mówi, pokazując mi trzy kosteczki po jakimś drobiu.

- Może pan mi je zostawić.

- Ale to dla psa.

- Jak wróci, to mu dam — mówię.

Mężczyzna przez moment waha się.

- A wróci? - pyta się.

- Wróci — odpowiadam. - Zawsze wraca.

- To jak wróci, niech mu pan da - mówi i rzuca kości na chodnik. - Tylko niech pan nie zapomni.

Grozi mi palcem jakbym był jego synem i odchodzi dostojnym krokiem. Myślę sobie, że pewnie teraz zapisuje w pamięci swojego ajfona te kilka kości, jako dobry uczynek.

Chowam kości do kieszeni i wracam do modlitwy. Boże, ześlij mi te pięćdziesiąt groszy albo chociaż kogoś kto podaruje mi kubek herbaty, łyk wody, puszkę po coli. Czy ja chcę tak wiele, Boże, powiedz?

Ktoś staje przede mną. Podnoszę głowę i widzę ją.



Aleksandra Caban – III nagroda



- Pan dziś bez psa? — pyta się. — Co się stało?

Uciekł — odpowiadam.

- Nie szuka go pan?

- Wróci.

- A jak nie wróci?

- Wróci.

- Na pewno?

-Tak.

- Bo ja mam dla niego trochę bułek.

Podaje mi zawiniątko ze spleśniałymi kajzerkami i odchodzi.

- Przepraszam - krzyczę za nią. Odwraca się od niechcenia i spogląda pytająco na ramię. - Nie podarowałyby mi pani pięćdziesięciu groszy na butelkę wody?

Na twarz kobiety wyskakuje zaskoczenie.

- A po co? — wypala. - Dla psa?

- Nie - odpowiadam. — Bardzo chce mi się pić.

- Aha, ale ja nie mam - mówi i odchodzi.

Patrzę za nią i widzę jak w kiosku kupuje paczkę papierosów. Zaraz zapala jednego i zaciąga się głęboko. Kiedy mija mnie, wołam ją.

- O co chodzi? - pyta się. .

- O psa - mówię. - Dostał zapalenia ucha i brakuje mi złotówki na leki dla niego. Zechciałyby mi pani pożyczyć tę złotówkę?

Kobieta przez moment taksuje mnie wzrokiem. Po chwili wyciąga portfel i podaje mi pięć złotych.

- Za resztę niech mu pan coś kupi dobrego ode mnie. Niech się wzmocni. I niech go już pan pilnuje, żeby nie uciekał, to niebezpieczne.

Potakuję tylko głową.

Aleksandra Caban – III nagroda



Z butelką wody w kieszeni wracam na plażę. Siadam na zimnym piachu i popijam drobniotkami łyczkami. Wodę długo trzymam w ustach, nie przełykam, pozwalam jej wsiąkać. Po chwili podbiega do mnie jakiś dzieciak.

- Co pan zrobił z psem? - pyta się, prawie krzyżąc.

- Uciekł - odpowiadam.

- Ale ja widziałem... - urywa.

Jakiś lęk ściska mnie w podbrzuszu.

- Co widziałeś?

- To co pan z nim zrobił.

- Uciekł - mówię uparcie.

- Pan go zabił.

Spogląda na mnie nienawistnym wzrokiem.

- Skąd ci to przyszło do głowy? — próbuję załagodzić sytuację.

- Widziałem. Wszystko.

- Nie wszystko jest takim, jakim nam się wydaje.

Dzieciak chwilę zastanawia się.

- To czym jest zabójstwo psa? - wypala w końcu.

Wzruszam ramionami.

- Nie wiem.

- To dlaczego pan go zabił?

- Nie zabiłem.

- Widziałem ciało. I nóż. I krew.

- A wiesz co to głód? - pytam się.

Dzieciak nic nie odpowiada.

- A wiesz co to znaczy zabić głód? - mówię dalej. - Nie wiesz.

I jeśli coś zabiłem, to tylko głód.

- Pan jest potworem. Wszystko powiem mamie - wysapuje i ucieka.

Aleksandra Caban – III nagroda



Zastanawiam się ile grozi za zabójstwo psa i dochodzę do wniosku, że na pewno kilka dobrych lat. Wstaję i powoli kieruję się na miejsce zbrodni. Rozglądam się, sprawdzając, czy wszystkie ślady pozacierałem. Nie widzę nic, ale mam wrażenie, że o czymś zapomniałem.

- To on - słyszę naraz i machinalnie odwracam się. Widzę tego samego smarkacza z jakąś ekstrawagancką kobietą.

- Dlaczego pan to zrobił? - odzywa się kobieta.

- Ale co? - udaję zdziwienie.

- Już pan dobrze wie co.

Milczę, bo mam jakąś straszną pustkę w głowie.

- Jest pan złym człowiekiem i odpowie pan za swoje winy.

Widzę jak wyjmuje telefon i wybiera jakiś numer; domyślam się, do kogo i w jakiej sprawie. Oblewa mnie zimny pot.

- Nie zrobi pani tego - nagle rzucam się na nią i wyrrywam z dłoni telefon.

Dzieciak zaczyna płakać, a w jej oczach widzę strach. Przez moment nie wiem, co robić, ale w końcu decyduję się i wyrzucam komórkę do morza.

- Jest pan podłym mordercą - syczy kobieta. - Wstrętnym, zawszonym łachudrą.

Przytula łkającego syna i odchodzi.

Moja jedyna noga i ręce opierające się na kulach, drżą. Zresztą cały się trzęsę, a serce mi nieprzyjemnie kołacze. Siadam na piachu. Głęboko oddycham, by się uspokoić, ale nie pomaga.

*

Czuję nienawistny wzrok na plecach, ale idę przed siebie ulicami tego nadmorskiego miasteczka, jakby zaraz miało przyjść

Aleksandra Caban – III nagroda



tsunami, które zmiecie tych wszystkich ludzi wokół mnie. Ale tsunami nie nadejdzie, bo ziemia i morze są zmrózone jak ich serca.

- Wypierdalaj stąd - słyszę, czyjs krzyk. - Nie potrzebujemy tu takich jak ty!

- Dokładnie! - ktoś podchwycą. - Spierdalaj tam skąd żeś przyszedł!

Nagle ktoś kopie w moją kulę i upadam. Słyszę śmiech.

- Już my cię stać wykurzymy, morderco. Tu jest porządne miasto, tu nie robi się takich rzeczy.

Pluje mi w twarz i odchodzi wśród akompaniamentu śmiechu gapiów. Nie mam siły żeby zareagować, żeby jakoś się bronić. Ocieram twarz, podnoszę kule i wstaję. Idę, nie wiedząc dokąd. Staram się, nie słuchać obelg, które co chwilę lecą w moją stronę. Nie myślę o ich nienawiści, bo sam czuję do nich nienawiść.

Zatrzymuję się przed stacją. Na widok szyn, po kręgosłupie przechodzi mi dreszcz, ale zamykam oczy i siadam na samotnej ławce peronu. Nie sądziłem, że kiedykolwiek tu przyjdę, ale myślę, że właściwe dobrze się stało, bo już dawno powinienem stąd wyjechać. To miejsce bez przyszłości, miejsce głodu, zimna i obojętności. Miejsce, które żyje cztery miesiące w roku, a resztę wegetuje. Miejsce ukochane przez szatana i znieawidzone przez miłość.

Z oddali słyszę stukot pociągu i wszystko do mnie wraca. Znow widzę tych kilku najebanych typów o wyrazach twarzy ameby jak obrażają jadącą razem z nimi „karynę”. Znow czuję jak gotuje mi się krew w żyłach i jak każę im przeprosić panią. Słyszę ich parsknięcie śmiechu i odgrazanie, że jak nie odpiardolę się od nich, to mi pokażą. Nie odpiardalam się i ponownie każę im przeprosić panią. Jeden z nich chwyta mnie za koszulę i syczy mi do ucha. Nic sobie z tego nie robię i po raz trzeci ponawiam prośbę. Wtedy już nie

Aleksandra Caban – III nagroda



wytrzymują. Któryś chwytła mnie znienacka i wyrzuca z pędzącego pociągu jak worek zgniłych jabłek.

Słyszę pisk hamulców. Zatykam uszy i kulę się w sobie. W głowie pojawiają mi się slajdy z ostatnich tygodni. Przeskakują, biegną, wracają. Kikut mojej nogi, krew, ból, lęk, umarłe marzenia. Kulę się w sobie jeszcze bardziej i modłę się żeby ten stalowy potwór wreszcie odjechał. Nie potrafię do niego wsiąść, choć nie potrafię też tego uzasadnić. Przecież wiem, że drugi raz to samo nie może się stać, że tutaj może być już tylko gorzej, że w wielkim mieście byłoby mi lepiej. Centra handlowe, kanały ciepłownicze, schroniska, łaźnie, kuchnie. Przeklęta głowa, która przykuła mnie do tego przekłętego miejsca niewidzialnymi gwoźdźmi, które nie dają się wyrwać.

*

Przyjmuję kopniaki na nery. Jest ich dwóch. Są młodzi, mają siły, twarde buty, więc boli. Staram się nie jęknąć, ale przychodzi mi to z trudem. Podciągam krew z nosa i przełykam, by tamci nie mieli satysfakcji, widząc, że krwawię. W oczach mi się już mieni i boję się, że zaraz odjadę, że zakatrupią mnie na śmierć. Ale po chwili przestają. Może też się tego boją.

Jesteś niegodny - rzuca jeden i spluwa mi na twarz. Biorą moje kule i odchodzą wołrrvm krokiem zwycięzców.

Jest ciemno, a ja leżę na zimnym chodniku z dala od wszystkiego. Ledwo zipię i boję się, że zamarznię. Próbuje się podnieść, ale nie jest to proste, bo obolałe ciało nie słucha mnie. Zaczynam się czołgać, ale skostniałe ręce są jak puch, jakby mięśnie rozwiął wiatr. Powoli, powoli zbliżam się do jakiś światła. Mała uliczka na obrzeżach miasteczka. Nie znam jej, bo nigdy się ru nie zapuszczałem. Widzę kościół. Podczołguję się pod niego z nadzieją, że jest omany, ale nie jest. Rozglądam się dookoła; nikogo nie ma. Nie mam już siły. Przytulam się do drewnianej jego ściany. Jest



Aleksandra Caban – III nagroda



trochę ciepłej. Walczę z powiekami, by te nie opadły, ale one są ciężkie jak życie.

Czuję czyjaś dłoń na ramieniu. Boli mnie ten dotyk, więc budzę się z sykiem. Nade mną stoi ksiądz i przestraszonym wzrokiem patrzy na mnie.

- Co ci się stało, synu? - pyta się.

- Owieczki poczęstowały mnie razami - odburkuję. - Nie widać?

Jestem wściekły, obolały, przemarznięty i cholernie głodny.

- Zawołam lekarza - mówi i z kieszeni wyjmuję telefon.

- Nie chcę - syczę i powoli podnoszę się na sztywnych rękach.

- Musi cię ktoś zobaczyć.

- Bóg widzi i jeśli On mi nie pomoże, to nikt nie pomoże.

Ksiądz chowa w dłoni telefon i patrzy się na mnie uważnie.

- A prosiłeś Go o tę pomoc? - odzywa się po chwili.

- Wystarczy, że pozwolił mnie tamtym skopać.

- Bóg nigdy nie pozwala na krzywdę. Możesz być pewien.

- To dlaczego nie zareagował? Dlaczego nie zatrzymał ich nóg?

- Człowiek jest istotą wolną. Dostał wolną wolę i Bóg nie ingeruje w jego czyny.

- Ta - parskam. - Już to słyszałem. Sprawiedliwość dostanę na Sądzie Ostatecznym.

Ksiądz ignoruje moją kpinę.

- Chodź - mówi, chwytając mnie za ramię. - Obmyjesz się.

Pomaga mi wstać i prowadzi na plebanię.

Kiedy odświeżony wychodzę z łazienki, opierając się o księżowską laskę, czeka na mnie ciepłe śniadanie i żywy ogień w kominku. Jest przyjemnie, jest jak w domu, o którego istnieniu już dawno zapomniałem.



Aleksandra Caban – III nagroda



- Niech mi ksiądz tylko jedno powie - mówię, przeżykając ostatnie kęsy jajecznicy na boczku. - Dlaczego człowiek tak bardzo gardzi człowiekiem?

Ksiądz spogląda na mnie i milczy.

- No, dlaczego? - poganiam go.

- Bo Boga z duszy wyrzucił - mówi po chwili. — Zapomniał, że każdy z nas stał się na Jego podobieństwo. Że On jest w każdym z nas.

- Na Jego podobieństwo - powtarzam. - Mam wrażenie, że tylko drogę krzyżową dostaliśmy w spadku.

- Nie ma innej drogi do świętości jak krzyżowa.

- Ale ja nie chcę być święty - oponuję. - Ja chcę być tylko najedzony, mieć ciepły kąt i by ludzie mną tak nie pogardzali.

- To jest tylko etap, synu. Liczy się wieczność, nie to, co tu. Jesteś jeszcze młody, a do ludzi trzeba z sercem. Jak...

- Ksiądz życia nie zna - przerywam mu. - Serca już dawno umarły.

Ksiądz wzdycha i w milczeniu pochyla głowę.

- Zabiłem psa - odzywam się w końcu. - Potem zjadłem go, bo byłem głodny. To był dobry pies, nawet bardzo. Uratował mnie wtedy, kiedy straciłem nogę. Razem włóczyliśmy się, razem zebraliśmy. Na mnie nikt nie spoglądał, jego głaskano. Nie, nie byłem zazdrosny. Byłem po prostu już tak potwornie głodny jak nikt z tych wszystkich, którzy mnie teraz sądzą. Ich głodziki razem wzięte nigdy nie były tym jednym moim głodem. Nie chcę się tłumaczyć, ale gdy dwa tygodnie temu gazety pisały o chłopaku, który zamordował ojca, a następnie zrobił z niego gulasz, pekłując połowę w słoikach, by mieć na później, nikt wtedy słowem się nie odezwał. Nikt nie ważył go potępić. A jeśli już ktoś coś mruknął, to to, że z pewnością ciężkie miał życie z ojcem i widocznie, jeśli tak zrobił, to musiał tak



Aleksandra Caban – III nagroda



zrobić, bo miał ku temu ważne powody. A oni przecież sami chodzą do tych chińskich bud i jedzą te swoje ukochane pieski z hodowli, wystrojone, ufryzowane. Mogą iść na schabowego, na spaghetti albo pierogi, mają wybór, ale wybierają psininę i jakoś im to nie przeszkadza. A co zrobili ze mną? Sam ksiądz widzi.

Patrzy na mnie jakimś współczującym wzrokiem. Boli mnie to. Odstawiam kubek herbaty i wstaję od stołu. Chwyta mnie za rękaw swetra.

- Nie masz rodziny? - pyta się.

- Nigdy nie miałem.

- Gdzie mieszkasz?

- Ksiądz powinien to wiedzieć - odpowiadam. - W ciele.

Uśmiecha się lekko.

- Nie masz gdzie spać - raczej stwierdza, niż pyta. Ja milczę. -

Byłeś w MOPSię?

- Nie potrzeba mi litości.

- Nie o litość, a o pomoc chodzi.

- Nie trafiłem na ulicę z lenistwa - mówię. - A nogi nie straciłem z głupoty. Chciałem pracować, ale pracy nikt mi nie chce dać.

Patrzy mi w oczy i czuję się jak nagie dziecko. Odwracam się i podchodzę do okna. Sypie śnieg. Uświadamiam sobie, że jutro Wigilia.

- Pomogę ci — mówi. - Zostaniesz u mnie na święta, a po świętach pomogę ci znaleźć odpowiednią pracę.

- Nie chcę.

- Narzekasz na ludzi, że są źli, a gdy ktoś podaje ci rękę, to ją odrzucasz - mówi. - Czemu masz zamknięte na miłość serce?

Odwracam się do niego .

Aleksandra Caban – III nagroda



- Ksiądz się nade mną lituje i nic więcej. Idą święta i nie wypada łajzy wyrzucić na mróz. Ja to wiem.

- Nic nie wiesz. Litość ofiaruje się słabym, silnym pomoc.

- Synonim) .

- W takim razie czego chcesz?

- Chcę żeby ksiądz mnie zabił. Żeby powiedział mi coś takiego, co zabije tę cholerną nadzieję we mnie, która mnie przez te wszystkie tygodnie karmi złudzeniami. Ja chcę być totalnie pusty, ja chcę w końcu móc iść jako ostatni przegraniec, nie okłamując już siebie.

- Póki Bóg z tobą, nadzieja zawsze będzie żywa. Ja Boga nie zabiję, ja mogę tylko twoją duszę Nim jeszcze bardziej wypełnić, byś już nigdy tej nadziei nie stracił.

Nic nie mówię. Ksiądz wstaje.

- Chodź, pokażę ci pokój. Prześpisz się trochę, bo pewnie jesteś zmęczony.

Godzę się, bo jakoś tak naraz ciężko jest mi wyjść stąd, z tego ciepła i dobytku, na tę przeszywającą mrozem zawieję. Choć to wypieram, to wiem, że jestem słaby i że tylko litość tego księdza pozwoli mi przetrwać w spokoju te kilka dni.

*

Kuśtykam do zaprzyjaźnionego z księdzem rybaka, który obiecał mu dobrych i świeżych karp. Wyrwałem się, bo nie chciałem patrzeć jak ksiądz wraz z gospodynią krzątają się, szykując się do Wigilii. Zanadto mnie to przygnębiało. Jest mi ciężko, bo nie mam kul tylko laskę, która ślizga się na olodzonym chodniku. Na dodatek wszystko mnie boli. Mam wrażenie, że nie posuwam się do przodu, ale idę uparcie, jakby gdzieś tam jednak czekał na mnie koniec wszystkich cierpień. Nagle upadam. Orientuję się, że to nie lód, a czyjś kopniak wytrącił mi laskę z dłoni. Nieśmiało spoglądam w górę

Aleksandra Caban – III nagroda



i widzę uśmiechniętą dwójkę, która wczoraj mnie skopała. Rozglądam się dookoła, ale nikogo nie ma. A nawet jeśliby ktoś był, to i tak nie pomógłby mi. Próbuje się podnieść, ale jeden z nich kopie mnie w plecy i z powrotem padam na chodnik. Drugi nie czeka na zachętę, tylko sprzedaje mi buta w twarz.

Śnieg wokół mojej głowy czerwienieje. Zaczynam się modlić, bo jeśli powtórzą swój wczorajszy festiwal kopniaków, to zdechnę jak jeź.

- Żebyś nie zapomniał - mówi jeden z nich.

- Wszystkiego najlepszego z okazji świąt - dodaje drugi i znowu zaczynają kopać mnie.

Chowam głowę, nadstawiając nery, ale po chwili nie mam już siły, aby tę głowę osłaniać. Kopią jak popadnie. Minuta, półtorej. Liczę sekundy, ale one ciągną się w nieskończoność. Jest zimno, więc nie zgrzeją się prędko. Mogą kopać nawet kwadrans. Powoli ciemnieje mi w oczach i czuję, że zaraz zemdleję. Zaciskam zęby i zbieram się w sobie. Wytrzymać. Jeszcze kilka chwil wytrzymać, zaraz się zmęczą, zaraz im się znudzi. Ale nie przestają. Coraz bardziej mnie boli i coraz bardziej jakaś zasłona zachodzi mi na umysł. Spoglądam w niebo. Boże, gdzie jesteś? Widzę gwiazdę. To ta pierwsza. Dwa tysiące lat temu się narodziłeś. W jakiejś lichej stajni, w żłobie, by po trzydziestu trzech latach umrzeć za grzechy całego świata. Za grzechy tych, co katują mnie w świętą godzinę Twoich narodzin. I ja mam im wybaczyć? Ja mam ich kochać? Czy spotkam tam Ciebie? Czy tam faktycznie będzie lepiej? Czy Ty wybaczysz mi moje grzechy? Wybaczysz. Coś mi miga przed oczami, a oni nadal kopią. Kopią, kopią. Metodycznie. Tunel. Światło błyszczące tak cholernie jaskrawo...



Ancilla

Philosophia ancilla theologiae.

Poesía ancilla philosophiae.

jeżeli Philosophia jest niewolnicą,
jaki chiton obleka, w jakie kosze
układa rdzawe, rajske owoce, z jakim wdziękiem
się schyla, by zaczerpnąć ze źródła
Prawdy w swoje amfory? jeśli jest
dla wybranych, próżno mi wypatrywać
choćby rąbka sukienki, choć tasiemki czy nitki, choćby pukla
jej loków.

jeżeli Poesia jest niewolnicą, jakże to
jest możliwe, gdy mieczem obosiecznym
dla niej Sen i Fantazja? czy zrzuciwszy sandały,
na podniebnych manowcach
lapis philosophorum nie skaleczy jej stopy?

jak rozsypać
widmowe, furkoczące widziadła białych wstążek
poznania, skoro każda z nich inna, każda z węzłem
gordyjskim, wieje wiatr nazbyt
silny

na moją wełnę, znowu wiem,
że nic nie wiem.





Drwęca

Drewenz jako przyczynek
rozważań poietycznych wypada całkiem
przykładnie, choć za oknami wieczór
nie spada w wilgotną trawę twardym jabłkiem
granatu.

w głębi ość
aberracji - nie wyjmiesz jej, jak się wyjmuje duszę
ze starego żelazka, to, co trwa myje nurt - heraklityjski
strumień, wystarczy
nachylić głowę i dostrzec pod ruchomą
taflą krasnorosty, muł, skręcone korzenie.

myśl dryfuje przez pianę
homeryckich centonów
jak widmowe kanoe z pneумы, szkła
i powietrza, przenikają się plamy rdzy
moczarek i situ, *poesis* i *poiesis*. może
dlatego woda jest tak bardzo
podobna

cento - szacie
zszytej
z kawałków tkanin, gdy fala splukuje skazy,
a zakola

ciemnieją...



profesor Kilroy pije kawę w stołówce akademickiej

dotyka paznokciem

karty

Wieczoru

Trzech Króli jak się dotyka perły.

przy stoliku zasiedli, wietrząc aromat kawy, Troilus
i Kresyda.

rękawem ociera miejsce
dla Coriolanusa.

Perykles, książę Tyru, prostuje dyskretnie
żylaste, obolałe stopy.

profesor odsuwa kruchą filizankę z uszkiem,
by położyć na blacie białą czaszkę Yoricka. jeszcze nie
wszystko zostało powiedziane,

a kawa dawno wystygła...



Fryderyk Chopin, do babki Antoniny K. list w tonacji f - moll

memini mori. bywa, myślę
O Tobie, z pięciu skrzypiących
okien w moim domu Chaillot widać wieże kościołów.
Panteon, indygo
nieba, łagodne przemarsze chmur, droga Stirling
mnie nudzi, spokój, dobre powietrze.

mógłbym Ci opowiedzieć
gwar tutejszych salonów, ciemniejące zakola bulgoczącej
Sekwany, gorzkawe zapachy mikstur, klawiatury grające
w głowie;

nie wiem, czy Tyje słyszysz, nie wiem też, czy dostrzegasz
jak się błąkam nocami po słowiańskich manowcach - malwy,
świerzop i kurz. i świecą wierzbowe próchna, bełkot
wiślanej wody jest poezją - muzyką; wracam

tam. i jest jesień, mali chłopcy o płołych oczach polnych
gryzoni, sprzedający kartofle z koszy na targowiskach,
pachną dymem i ziemią, w domu, w rżniętych
flakonach tęczą kielichy kwiatów o słodkiej
O dusznej woni, mieszając się z wonią mebli,
maku, sreber i futra, matka
trąca klawisze - w śnie uchylam misterne,

Anna Piliszewska – I nagroda



płaskie wieko puzderka: rośnie drzewo i grobla, i w deszczu
grzyby puchną na widmowych pastwiskach,
i pnie się w nieistniejące
wilcze łyko i wyka - biegnie dźwięk
jak przeciągły skowyt wyżłów w powietrzu, ożywa

czas słoneczny - miesza mi pory roku; kręcą się
dni - wiatraczki,
przynoszone z odpustów, jeszcze
się pierwszy utwór nie drukuje w sztychami
nut, a już w duszy błyskają dwie chabrowe latarnie - dla nich
z Koncertu F - moll światłoczułe Larghetto.

Twój druciany pierścionek z okrągłym brylantem, babko, oprawny
w matowe srebro, dałem właśnie Konstancji, co dodałem
w sztambuchu, pod linijką wiersza, dzisiaj nie ma
znaczenia, dzisiaj mówi arioso Rossiniego jej głosem: teraz

myślę muzyką, uwierz mi, już za chwilę
zatrzasnę perłowe puzdro,
otworzę skrzypiące okna, spojrzę w krzyże kościołów, powiem:
memini mori. spokój, dobre powietrze..



cegielnia Hosera. Wiegenlied

dlaczego mnie tu przywiozłeś? w innych,
odległych miejscach inne młode kobiety mają lepsze
trzewiki, nowe chustki i wstążki, ich mężczyźni nie cuchną
wonią gliny i błota, a ich palce nie grubną od mozolnej roboty,
czujesz jak się porusza dziecko pod moją suknią? wilgoć
idzie od wody - czujesz ten dziwny chłód?

*mój żołądek skurczony, miska nadal jest pusta, gdzieś daleko
kobiety hojnie kraszą stoniną gotowane kartofle, myślą dym
nad cegielnią, dym o barwie marengo,
o barwie naszego snu. lecz cóż ty wiesz
o świetle, cóż ty wiesz o barwach; jesteś tylko kobietą.*

powiadają, że cienie
chwieją się
nad Utratą że tam gdzie się obraca
w prochy Swansek de Praskow, nocą rusza się ziemia.

*glina zmienia się w cegłę, cegła zmienia w ścianę, w dotach
wody przybywa nocą na gliniankach,
śnił mi sen o skrzydłach wielkich niemych tabędzi, mały
syn pierworodny, rzepy - długie zagony, a to pomyślna
wróżba, otrzyj mękę z policzków - z cegieł ściany już rosna,
śnił mi się kary rumak w ozłoconym czapraku.*

Anna Piliszewska – I nagroda



jedz do syta i zaśnij, zaśpiewam ci kołysankę
o domu z palonej cegły, tak by mógł ci się przyśnić,
wyśpiewam ci sen o wodzie i popłyniesz Utratą
tam, gdzie wznosił się zamek, gdzie wśród gęstwy
gałęzi zięba gniazdko uplata.

*glina zmienia się w cegłę, cegła zmienia w ścianę, w dołach
wody przybywa nocą na gliniankach, i widzę w myślach
miasto - mości się w mojej głowie - zmienia
w rozgwar i szum...*

to tylko deszcz rozplata łożin mokre warkocze, chcesz, rozplotę
mój warkocz i do ucha opowiem synka, który się rusza
popod moją sukienką, i opowiem pisklęta
krasek i jemiółuszek, atramentowe drzewa
za cegielnią Hosera ; nie objaśniasz ich głosów - tak,

bym mogła rozumieć - bo przecież nie rozumiem
mowy roślin i ptaków - jestem tylko kobietą...



POZOSTAŁOŚĆ

Tyle po nas zostanie
dom zamknięty milczeniem
ślady też na policzkach
kamień spowiadający się
absolutnie bezgłośnie
z grzechu niespełnienia

zostaną po nas drżące
niepewne siebie uśmiechy
cichych słów zapisanych
w przypadkowych wierszach
spojrzenia czułe zatroskane
miłość darmo rozdawana



TESTAMENT

Chcę by została po mnie błoga cisza
i spokój taki który serce koi
tęcza zamknięta w małej kropli deszczu
i promień słońca wpleciony w codzienność

Przecież nie zniknę nie odejdę całkiem
tylko na spacer pójdę wśród niebytu

Nie chcę łez Waszych ani słów boleści
raczej muzyki dajcie mi posłuchać
ona mi zawsze dodawała siły

I nie kłóćcie się ze mną po co i dlaczego
tak zawsze było tak jest i tak będzie

Poczekam na Was za progiem ciemności
podam Wam rękę i pójdziemy razem
zwiedzać nieznaną przestrzeń miłości

Magdalena Dryl – II nagroda



(...)

Poddaję się życie moje już
niczego nie chcę od ciebie

resztki sił poupychane
głęboko w kieszeniach
z irracjonalną nadzieją
że może jeszcze kiedyś

okruchy wspomnień są
schowane w szafie ciszy
piszczą ze strachu przed
całkowitym zapomnieniem

słowa modlitwy jakieś
porozbijane bezwładne
nie chcą się skleić w całość
opadają na dno umysłu

tylko jedna buńczuczna
myśl wdrapuje się po
plecach innych na szczyt
i wrzeszczy że to nie tak

szukam po kątach wiary
prawie jej nie widać taka

Magdalena Dryl – II nagroda



skurczona pomarszczona
wisi w powietrzu jak pyłek

ufność zabrała marzenia
na daleki spacer nie wiedząc c
zy wrócą kiedykolwiek bo
tutaj nie ma dla nich miejsca

dlatego wybacz mi życie moje
ja się poddam już nic nie chcę



NOCĄ

Nocą gdy nie mogę spać
powieki zamykają się
ze zgrzytem słonych łez
do ścian mózgu
dobijają się myśli
szare i złe
nawet księżyc
śmieje mi się w twarz
Nocą gdy nie mogę spać
pokój jest za mały
aby pomieścić smutek
okno straszy cieniami
a za drzwiami hałasują
wypuszczone na wolność
osamotnione wspomnienia

Wtedy właśnie
poddaję się
życiu
bez walki



Rozmowa milczenia

Kto dał ci prawo
zagładania w moje serce
panoszenia się w myślach
budzenia mnie po nocach
niespokojnymi snami

kto ci pozwolił
odbijać się w moich oczach
wywoływać uśmiech na twarzy
w najmniej oczekiwanych chwilach
łzy wyciskać niespodziewanie

co ty sobie w ogóle myślisz
oddalony a ciągle bliski
zaplątany we wspomnienia
nierealny jak lekkość obłoków
jak nadzieja na spełnienie

wpatrzona w odbicie świata
dotykam wciąż żywej miłości

z dnia na dzień coraz
przeźrocystszej



PLUS

plus z przeciętnego zestawu
matematycznych działań s
erwowanych dzieciakom
już od pierwszej klasy
szkoły podstawowej
jak kaszka na śniadanie
zrobił oszałamiającą karierę
wybił się na szczyty sławy
jest rozpoznawalną marką
serwowaną na każdym kroku
niczym przyprawa do zupy
zauważalna doza optymizmu
i telefonia komórkowa
łatwo można go znaleźć
we wszystkim co najlepsze
w najprostszym ogniwie
każdy rozumie że czasem
musi rozładować napięcie
dziwna to wyrozumiałość
zważywszy że plus to tylko
najzwyklejsze w świecie
dwa skrzyżowane ze sobą
jak na to nie patrzeć minusy



MINUS

od początku nas dołuje
sprowadza do parteru
zawsze mniej niż zero
nie ciągnie do przodu
nie mobilizuje zimą
schładza niespodzianie
do minus trzynastu
aż ciarki przechodzą
człowiekowi po grzbiecie
minus trzydzieści trzy
i strach otworzyć usta
a jeszcze w zanadru
ma tyle że ręce opadają
przepraszam bardzo
one do pięt przymarzają
nikomu w głowie myśl
wówczas nie zaświta że
minus może ma za sobą
traumatyczne przejścia
może jest sprasowanym
prostokątem kwadratem
kołem podbiegunowym
albo tarczą gladiatora
już od zarania uziemiony



GWIAZDKA

czy na kartkę z nieba spadła
czy też kropka się przejadła
jak to w życiu często bywa
jest podobna do rozgwiazdy
lecz dlaczego taka czarna
dziura we wszechświecie
zamiast srebrzyć się i złocić
trudno wejść w jej położenie
kiedy pierwsze skrzypce
inni grają dziś na scenie
czy przypadła jej z natury
ważna rola pretendenci
do śnieżynki w zaspie
czy ognista i złowieszcza
na kształt kleszcza będzie
w tekście i kontekście
się przemieszczać wprost
włos się czytelnikom jeży
trudno jest uwierzyć że ma
na ten temat zdanie własne
spójrzmy tylko nieco niżej
zaraz wszystko będzie jasne



KÓŁKO

zrobiło furorę na czole
zanim zaprzęgli je do wozu
a może było odwrotnie
z górki i pod górkę
przetacza się po drogach
z reguły bezkonfliktowo
chyba że konkurencja
pod płaszczykiem wyrw
szuka dziury w całym
rzecz doprawdy niepojęta
że ono ciągle bez kantów
choć tyle dogodnych okazji
w skorumpowanym świecie
czasem pod presją niebios
przybiera kształt elipsy
bądź też kurzego jaja
mocno ściśnięte w kolejce
tramwaju lub autobusie
staje się zwykłym zerem



KRZYŻYK

od czasów ukrzyżowania
Chrystusa przeszedł
ogromną metamorfozę
na wojennych cmentarzach
i na wielu dróg rozstajach
ale ciągle nam na karku
siedzi innym zaś na drogę
dawany czasem zamiast
słów błogosławieństwa
przez wrogie żywioły
dyskretnie wyeliminowany
z kuponów totolotka
nie może się odnaleźć
w zwariowanym świecie
jedynie w popularnej grze
towarzyskiej z kółkiem
pozostał niewzruszony



STARSZA PANI PISZE WIERSZ

starsza pani pisze wiersz
rozmazuje tusz wokół żył kartki
wodzi końcem nosa jak długopisem
wiersz jest o miłości tej jedynej
choć tyle ich było
makiż światła rozjaśnia ją
zmyje go dopiero sen
a tak dawno nic się jej
nie śniło

wróćmy do miłości
starsza pani ją opisuje
pierwszą miłość

ale nie może sobie przypomnieć szczegółów
i na jaką literę zaczyna się imię
ROMEO

Zbigniew Mysłowiecki – wyróżnienie



Bożence Orłowskiej

* * *

od paru miesięcy
nie dokarmiam PEGAZA -
być może dlatego że chciałym
by jak najdłużej krążył nade mną
stukał kopytkiem w szyby
domagał się liter sylab słów
młodość zaciera się w pamiętaniu
zatraca się w myślach a PEGAZ
wciąż ten sam uskrzydłony
stuka jak gołąb na parapecie
nie dam mu odlecieć
nie nakarmię go literą sylabą słowem
sianem myśli –

będę obserwował jak karleje
jak się sptasza wróbleje
ale nie puszczę –
niech ma za
swoje

...





* * *

/pieśń czarnej owcy/

z matką
pijemy herbatę z torebek
bo matka nie lubi fusiatej
przegryzamy przecenionym piernikiem
którego nie rozgryzłby nawet wilk
o żelaznych szczękach

herbata
ma kolor ciemnego bursztynu
i posmak tablicy mendelejewa
z cukrem jakoś przechodzi

brudzi szklanke
zostawiając brunatny ślad
prawie nie zmywalny

piernik jest stary
i my starzy chociaż ja mniej
matka sprytniejsza - odkryła
że można maczać piernik w herbacie
i daje to pozytywny efekt

od tego herbata robi się mętna
ale matce to nie przeszkadza

Zbigniew Mysłowiecki – wyróżnienie



mówi że nic już nie może jej
zaszkodzić

we wojnę jadało się gorsze rzeczy
i dalej macza piernik w herbacie
w jej ulubionym radiu z torunia –
koronka za głodujących



Pamiętasz

pamiętasz krople rosy
niedośnione diamenty opadające cicho
ze złocistych liści starego orzecha
na zieloność daszku nad drzwiami ?

pamiętasz rudego kota
który ocierał gęstą jak trawa sierść
o kulawy stół i lubił chować się
w wielobarwnych zaroślach ogrodu?

pamiętasz ich oczy?
ich słowa
jakby jeszcze rozbrzmiewające
w tej jesiennej ciszy ?

to tutaj
przez wirujące w wietrze liście
powracasz
trzymając się nici wilgotnego powietrza
jak biegnących impulsów wspomnienia

uchylasz skrzypiącą bramę
w poszukiwaniu przeszłości



Alpinista

znam już wszystkie odcienie bieli
płomieniem lodu wyryty świat
hieroglify natury
zawarte w papierowy obraz

to co mnie otacza
kłębowisko zmiennych
chmur

skały twardo uformowane
przeszłość i czas

sen Ziemi
tu zamieszkał
obudził we mnie
intensywność

napinam strunę grawitacji
na krawędź
na szczyt



***Panorama* Hendrika Mesdaga**

Morze można kochać. Słone podmuchy
opowiadają tęsknotę. Ono jest łąką codzienności.
Mamy ją przy sobie jak półprzezroczysty cień.
Szarosć i błękit. Chmury i przejaśnienia. Los.

Spotkanie ziemi, wody i powietrza. Łodzie śpiące
na piasku, ptaki o złożonych skrzydłach,
wyczekują podróży w przestrzeń, w zamgloną dal.
Przy nich maleńcy ludzie spoglądają w oczy żywiołom,
niepewni, czy powrócą, czy odpłyną już najdalej, aż na drugi brzeg.

Obok spokojne, dziewiętnastowieczne budynki wybrzeża,
jakby wyrzeźbione w skałach, cisi świadkowie
codziennych szczęść i dramatów, powitań i pożegnań.
I tylko obłoki płyną, płyną, płyną bez zawijania do portu.



Czas na literacką herbatę

rozpływa się ciepłą barwą zmierzch
słysząc szelest herbacianych kartek

ile esencji tego dnia
wiruje mi
fusami myśli

wspomnień para pełna zapachu
liście- roztwór metafor
zielone czerwone prawie czarne i białe

szybko rozgrzane dodają energii
powoli sennie uspokajają

dobieram je i pakuję
w papierowe torebki
wierszy



Spacer Vincenta

Barwy płyną kanałami. Liście drzew
w tańcu zmieniają się w płatki
słoneczników. Żółcień bije po
oczach jak spojrzenia szaleńców.
Krew tętni pulsującym światłem,
które wypłata na nocnym niebie
pokrętne historie o kształtach. Wibracja
przestrzeni, toczą się koła ruchem
odpadającego ucha.

Witajcie marynarze świata,
pierwszy tłumie turystów. Zbudujmy
z martwych natur tratwy, posypmy
diamentami lamp. Popłynmy przez
impresję barw. W rytmie naszych
kroków trzepoczą zastawki ulic.
To całe drżenie.
Sen o iskrzeniu świata.

Wiedzą o tym pigmenty
wybuchające szybko i nerwowo
na moich płótnach.



Pytania zadawane sobie

A gdybym zniknęła?

Czy ktoś by zauważył?

Schowała się w otchłań nikomu nieznaną...

A gdybym uciekła?

Kto by mnie szukał?

Znów samotnością swoją będę otoczona...

A gdybym zamilkła?

Kto by zrozumiał?

We wnętrzu duszy będę zrywać struny...

A gdybym została?

Nic się nie zmieni

Tak już zostanie

Nie szukam nadziei



Cywilizacja

Puste stoliki w kawiarni (słyszać tylko ekspres do kawy)
Przepełnione sklepy rtv, agd (reklama w telewizji - raty zero procent)
Dialog w cztery oczy tylko przez kratki konfesjonału - raz w roku
wystarczy
(puk puk puk)
W autobusie, na przystanku milczące usta wkładają słuchawki w uszy
(łupu
cupu, łupu cupu)
Rodzina nie rozmawia w domu (każdy waruje w swoich czterech
ścianach)
U psychologa wydajemy pieniądze („nie umiem dogadać się
z rodzicami” –
„tak, tak, to interesujące”)
Pomimo wyobcowania ludzie nadal potrafią okazywać sobie
sympatię
(dwukropek nawias)
Nawet miłość (dwukropek gwiazdka)
Dużo miłości... (dwukropek gwiazdka gwiazdka gwiazdka)
Gwiazdka - czas magii (magii rabatów)
Wyścig po największą - choinkę (promocję)
A kiedy będzie promocja na życie?



Dziecięce zwierciadło

„Mamo widziałaś? Spadająca gwiazda!”

„Przywidziało Ci się”

Na ziemię spadł Anioł
Połamane skrzydło, czupryna nieokrzesa,
Zagubiony wśród ludzi,
Samotny w tłumie,
Lecz radosny i z nadzieją.

Był jak ludzie,
miał serce, jednak jego biło;
miał oczy, jednak jego patrzyły i widziały;
miał uszy, jednak jego słuchały i słyszały;
miał usta, jednak jego mówiły dobre słowa;
miał ręce, jednak jego dawały pomoc.
Nie miał bogatego ubrania, jednak miał przepiękne pióra.
Nie miał pieniędzy, jednak miał uśmiech.

Latał pełen zapału,
to tu, to tam.
Gubił po drodze pióra, ale
wszystkim chciał dać to, co miał.

Był w mieszkaniach - lecz nikt go nie zauważył.
Był w świątyniach - lecz nikogo nie spotkał.
Był w parku - lecz nie dogonił żadnego biegacza.

Paulina Montewka – wyróżnienie w kat. „student”



Był w galeriach - lecz nie przyciągnął niczyjej uwagi.

Był na ulicach - lecz dziś nikt nie zbiera ulotek.

Zostało mu ostatnie piórko,

Ostatni uśmiech.

Ostatni bezinteresowny dar,

ostatnia nadzieja.

„To Ty byłeś spadającą gwiazdą?”



Nad Muchawką

o poranku idę w stronę Muchawki
ścieżką ubitą życiem
mgła podnosi nowy dzień
rzeczka wije się brunatną wstęgą
słysząc klekot łąk
pasą się pierzaste obłoki
ziemia podlatuje skowronkiem

jeszcze drzemie piasek nad wodą
brodzą lilie wodne
trzciny grodzą groble

jestem w kapeluszu co oczu zadumę ocienia
z nurtem rzeczki wdaję się w dialog

przesuwa się czas
przesuwają cienie
usypiam w cholewie dnia



Powtórka z Romantyzmu

Przestańmy do siebie mówić imionami literackich bohaterów zwłaszcza tych romantycznych idealistów i straceńców.

Oni zazwyczaj umierali w samotności z poczuciem klęski goryczy i niespełnienia powtórki są zazwyczaj nudne jak pisał

klasyk literatury dla młodzieży albo to już było można jeszcze usłyszeć z ust wyeksploatowanej gwiazdy polskiej sceny.

Nadszedł czas by nie oglądać się już za siebie choć doznane krzywdy bołą, nawet bardzo bołą, a blizny pozostaną do końca życia. Już czas o nich zapomnieć i śmiało popatrzeć w przyszłość wziąć siłę z dobra i miłości, by postarać się wspólnie stworzyć namiastkę raj. Jednak tylko razem, gdyż

samotność nawet w raj. jest nie do zniesienia.



Zimowa baśń dla córeczki

Ciemne niebo iskrzy się gwiazdami.
Lśniący księżyc - jak srebrna latarnia.
Płatki śniegu tańczą nad polami.
Baśń zimowa cały świat ogarnia.

Słyszysz granie czarodziejskich fletów?
I dźwięczące w oddali dzwoneczki?
Ktoś - na wiwat pali z pistoletów
to bajkowe już jadą saneczki.

Poprzez pola, i lasy, i drogi
białe konie i biali rycerze.
W świetle gwiazd im błyszczą ostrogi,
brylantowe się mieniają pancerze.

Baśń zimowa przystaje na chwilę
by zawisnąć w choinkowej zieleni;
w małej bombce malowanej w motyle,
co wszystkimi barwami się mieni.

Lecz - cichutko już dzwonią dzwoneczki,
wiatr je woła w ośnieżonych drzewach.
Odjeżdżają bajkowe saneczki....
Flet melodię coraz ciszej śpiewa...



pierwsze

pierwsze zrobione
przeze mnie zdjęcie

zachód słońca
patrzy poprzez
pochyloną nad j eziorem
brzozę
gdzieś dalej
jesteś ty, tato –
radosny, szczęśliwy
i może wsłuchany
w szept jeziora
umiałeś słuchać
nie bałeś się słyszeć
ile jeszcze
zapamiętała
fotografia
co ocalę
w sobie
jako najważniejsze



Te trzy

Gdy znalazłam się w nocy głębokiej,
kiedy wiara w kąć ciemny czmychnęła,
Ona jedna wciąż przy mnie trwała,
najwierniejsza, ta nie zniknęła.

Kiedy złodziej ufności się zakradł,
gdy nadzieja ogon podkułała,
Stróż serca na warcie swej nie spał
I największa- Miłość- została.



Moja wioska

Kiedy się urodziłem
moja wioska
była taka duża.
Na jednym końcu świata
w Himalajach pagórków
stał czerwony kościół
a na drugim
wabiła zielenią Sahara
Za obronnymi murami zamku
miałem swój wodospad
Niagarę na Narwi
w pobliżu remizy strażackiej
i Rów Mariański
na polu sąsiada
W pępku świata
stał budynek szkoły
W dżungli smarkaci Indianie
zbierali do kołczanów patyki,
Teraz moja wioska jest małeńka
gdy przyjeżdżam na wakacje
mogę ją wziąć w dłonie.





Plac zabaw

Na czarnych od zmroku ulicach,
gdzie blasku latarni nie dotkniesz.
Plac zabaw, obok piaskownica
Bawił się samotnie chłopiec.

Jego ręka - samolot.
Nad głową nią powoli machał
Jedno zdanie powiedział
„Wystartowałem, już latam”

Nie było już placu zabaw,
piaskownicy też obok.
Latał spokojnie w przestworzach,
szybował nad wielką wodą



U progu strachu (fragmenty)

Pamiętam Zosię, gdy miała około 2-3 lata. Chodziłyśmy wtedy na długie spacery. W południe słońce świeciło nam po oczach, a nasze cienie niebezpiecznie zaznaczały . swoją wszechobecność.

- Co to! A sio! - krzyczała na nie i tupała swoimi grubiutkimi nóżkami. Im więcej zamieszania robiła, tym więcej cieni kręciło się w naszym pobliżu. Ludzie przybierali zaniepokojone miny, niektórzy denerwowali się, a ich twarze szpeciły złe grymasy. W samo południe otaczała nas mroczna strona rzeczywistości.

- Mamo, uciekamy!

Prowadziłam ją w zacienione miejsce i odpoczywałyśmy, rozkoszując się chwilą samotności, życiem w półcieniu.

Wtedy schowałyśmy się w kawiarni.

Natrafiamy na baśnie Andersena. Bawimy się w otwarcie na chybił - trafił. *Cień*. Śmieję się, ona trochę zdenerwowana, ale zaraz udziela jej się mój nastrój.

Zaczynamy czytać. Zosia szybko się niecierpliwi:

- Mamo, pograjmy w skojarzenia.

Jeszcze przebiegam wzrokiem po kilku liniijkach tekstu. Przerywam w momencie, gdy cień przemieniony w człowieka odwiedza swojego dawnego pana. Czuję, że role próbują się tu odwrócić. Cień żąda coraz więcej, rozrasta się na nowe sposoby, już bez udziału słońca. To rośnięcie w siłę staje się jego podstawową, uwypukloną cechą. Pana - właściciela jest coraz mniej... Obiecuję sobie, że jeszcze do tej baśni wrócę. Zastanawia mnie zakończenie - co zrobią pan i jego dawny cień - obecny pan?



Anna Płaskowska



Leżę, przygniataam swój cień i próbuję przypomnieć sobie jak najwięcej. Ciągłe czuję niedosyt wspomnień - na przykład nie mogę odtworzyć w pamięci tego, co robiłyśmy po kawiarni. Szereg dni uciekł. W szeregu wszystkie wyrazy są równorzędne. Przypomina mi się jedna z lekcji! Jeśli równorzędne, to tak samo ważne lub tak samo nieważne - wnioskuję dalej. Skasowałam je na tych samych prawach. Wolę przyjąć wersję bardziej optymistyczną - dni, których nie pamiętamy, nie były ważne. To potwierdzałoby logiczne funkcjonowanie mojego mózgu.

(...)

Podchodzę do okna, podnoszę rolety. Teraz widzę, rośnie. Muszę uważać, żeby nie dać mu się za bardzo. Znow kładę się, przygniataam go sobą, nie pozwalam mu się rozrosnąć. Karmię się wspomnieniami, doprowadzam się do normy, tyje... sobą, zostawiając tyle, ile trzeba mojemu cieniowi.

Mamo, boisz się cieni?

Uśmiecham się:

Może pójdziemy na plac zabaw? - odwracam jej uwagę, sama nie wiem dlaczego.

Mamo, boisz się cieni? - pytanie wraca. Nie lubią zostawać bez odpowiedzi. Tak, czasem - odpowiadam już zgodnie ze sobą jak trzeba.

Od dłuższej chwili obserwuję cienie rzucone przez przedmioty wokół. Nie ma ich dużo. Cienie rozpanoszonych kartek. Łóżko i jego cień. Szafka i jej cień. Telefon i jego cień. Komputer i jego cień. Telewizor (dla uniknięcia rozproszenia niewłączany) i jego cień. Odrywam od nich wzrok i spoglądam na drugie szpitalne łóżko.

84



Anna Płaskowska



Nadal jestem sama. Rozkoszuję się tą myślą. Niewątpliwie ta moja wolność - tak potrzebna mi teraz - ma duży wpływ na przebieg mojego myślenia. Czy zdecydowałabym się na godziny wpatrywania się w ściany, sufit, przedmioty, kartki, a w rezultacie na pisanie, gdyby pojawiła się tu jakaś osoba? Pewnie po chwili włączyłaby mnie do swojego życia, tak jak przeważnie się to robi, a ja starałabym się udawać empatyczną i współczuwałabym jej w bólu, zapominając, że najpierw muszę zatroszczyć się o siebie. O swoje ciało i ducha. Obserwuję więc nadal wszystkie te cienie i jak za dawnych lat próbuję odnaleźć w nich rysy innej rzeczywistości. Cień zmierzwionej kołdry na szpitalnym łóżku zamienia się w spokojne fale oceanu, cień szafki, telefonu, komputera i telewizora to płynący długi okręt o nieregularnym kształcie, a pogniecione kartki poruszane przez wiatr nabierają kształtów podobnych do nóg i dłoni tonącego Ikara. Codziennosc, spokój, nieposłuszeństwo, kara. Jak wtedy.

(...)

Odrywam wzrok od podłogi z cieniami, przyglądam się złocistoszkarłatnemu zachodowi słońca. Łapczywie pochłaniam pełen kielich wody. Próbuję ugasić pożary te prawdziwe i urojone, te w sobie i na zewnątrz. Spoglądam na komórkę. Za chwilę będzie za późno i już go nie wpuszczą. Przyłapuję się na tym, że tęsknię - za dziećmi, ale głównie za nim - za Jarkiem. Już mam układać się do snu, gdy wpada z kotletami mielonymi. Od razu pochłaniam dwa, nawet nie sądziłam, że jestem aż tak głodna. A może to tylko zachłanność, dziki apetyt?

Najchętniej położyłabym się z nim. Tęsknię, chcę powiedzieć, słowa jeszcze z trudem przechodzą przez gardło, zniekształcają się, ale chyba rozumie. Głaszcze mnie po czole. Odruch typowo macierzyński. Wyzdrowiejesz, będziesz mówić dużo i płynnie. To tylko kwestia czasu. Damy radę. Wszystko wyćwiczysz. Czuję się jak



Anna Płaskowska



małe dziecko. Przymykam oczy. Cieszę się, że ciebie mam. Już nie mogę doczekać się powrotu do domu. Nieprzespanej nocy pod kołdrą przesiąkniętą zapachami naszych ciał. Wiem jednak, że na razie musi być inaczej. Cierpliwie czekam. Wszystko staram się przekazać mu w uśmiechu, spojrzeniu. Tak, jestem pewna, że rozumie.

- Muszę wracać. Twoja mama została z Zosią i Jasiem, wiesz, że o tej godzinie potrafią już nieźle marudzić.

(...)

Jestem sama w górach. Wyraźnie się niepokoję, chyba zabłądziłam. Czuję nad sobą bezchmurne niebo. Mam wrażenie, że sama je dźwigam. Barki coraz bardziej boją, a słońce zaczyna parzyć moją skórę. Chcę sięgnąć do plecaka, jednak wtedy okazuje się, że niczego nie mam. Pić! Wołam. Wokół cisza. Pić! Trawa wokół mnie usycha z pragnienia. Zdejmuję buty i zatapiam stopy w kłujące źdźbła, ciągle z nadzieją, że odnajdę chociaż kropkę wody. Grzebieniaste palce przeczesują ziemię, na próżno. Kładę się na brzuchu i próbuję się czołgać - widzę w oddali dwie rozłożyste góry jak piersi dorodnej matki napęczniałe pokarmem. Jagody, jeżyny! Wołam w swojej w fatamorganie. Podpełzam trochę, wtedy obraz niknie. Drzewa i krzewy są zbyt daleko, a płynąca pośrodku rzeka wydaje się niedościgłym marzeniem. Odwracam się, za mną jedynie niewielki krzew jarzębiny. Nie jestem pewna, czy się nie zatruję, jednak postanawiam przedrzeć się do soczystych owoców. Pić! Jeszcze dwa metry! Metr! Dam radę! Wtedy przede mną jak spod ziemi wyrasta złocistoszkarłatny orzeł. Zagradza mi drogę! Szukam wokół czegokolwiek, czym mogłabym w niego rzucić, wrywam tylko suche źdźbła trawy. Rozsypują się wokół mnie, nawet nie muskając orła.

-Dlaczego tak stoisz? - zadaję pytanie. - Nawet nie drgniesz. Czy tak zachowują się orły? Przyszedłeś zjeść moją jarzębinę? -



Anna Płaskowska



uporczywie dopytuję resztkami moich sił. Zatapiam twarz w suchej ziemi i oczekuję końca.

Orzeł podchodzi do mnie. Zaczynam bać się, że mnie rozszarpie. Może tak jak ja jest zdesperowany, stąd jego nienaturalne zachowanie. Podnoszę dłoń ku górze, delikatny sygnał - pomocy. Zamiast pazurów i dzioba czuję lekkie muśnięcie skrzydeł. Ptak otula mnie swym ciałem, aż parzy.

-Gorąco - zaczynam krzyczeć, jednak jego pocałunek po chwili zamyka mi usta. Spalamy się razem wśród bieszczadzkich połonin. Zostaje po nas jedynie garstka popiołu.

Budzę się.

(...)

W pomarańczowym świetle przyglądam się swojemu błyszczącemu ciału. Dopiero teraz dociera do mnie, że przez ostatnie tygodnie się nie depilowałam. Nogi pokrywają ciemne, już dosyć długie włoski. Sięgam po lusterko i śledzę linię brwi, która najwyraźniej zgubiła swą regularność. Przydałaby się golarka i pęseta, przelatuje mi przez myśl. Równie szybko z tą myślą się żegnam. Nie, nie to jest teraz najważniejsze. Schodzę ze szpitalnego łóżka. Jeden krok. drugi. Klap. klap. Siedzę swoje rozklekotane klapki, nie czując się w pełni sobą. Klap, klap, powtarzam za nimi i się śmieję, najwidoczniej za głośno, bo aż przybiega pielęgniarka. Już nie ta z nocnej zmiany. Patrzy z niedowierzaniem, jak sama - już bez wysiłku - sięgam po ręcznik i mydło, a następnie w rytm wystukiwanych klapnięć przemierzam długość szpitalnego korytarza, aż pod prysznic. Za mną wlecze się mój cień, widać, że beze mnie by zginął. Odkręcam wodę, reguluję kurek, w końcu uznaję, że jest w sam raz - ani nie za gorąca, ani nie za zimna. Okiełznany żywioł muska moją złocistą skórę, pieści lekko zaokrąglone piersi i płaski, zadbany brzuch. Nabieram ochoty, żeby znowu odwiedzić siłownię,



Anna Płaskowska



jednak wiem, że w najbliższym czasie będzie to jeszcze niemożliwe. Powoli wykonuję przysiad. Czuję, jak mięśnie zaczynają mnie słuchać. Wstaję niespiesznie, wyciągam dłonie wysoko ponad głowę i o kilka milimetrów unoszę się na palcach. Później opuszczam ręce jak orle skrzydła. Nie mogą doczekać się lotu. Uspokajam je, przytulając do własnej piersi. Z rozważą decyduję się na afirmacje:

- Jesteś piękna.
- Jesteś silna.
- Potrafisz dopiąć celu.
- Masz dobrą pamięć.
- Nauczysz się znów sprawnie mówić.
- Jesteś w stanie odtworzyć najważniejsze.
- Możesz jeszcze zbudować siebie.

Działają. Czuję w sobie moc feniksa. Już wiem, że nie pierwszy raz.

Odradzamy się w różnych etapach naszego życia i ciągle składamy przy tym mniejsze lub większe ofiary. Najważniejsze, aby w tym wszystkim znów odnaleźć siebie. Wiem, że potrafię i z tą myślą spokojniej mi żyć.

* * *

- Mamo, czy ty czujesz strach?
- Tak, kochanie, jak każdy, czasami.
- I co wtedy robisz?
- Wierzę, że z nim wygram, a potem będzie już tylko lepiej.



CZTERDZIESTOLATEK...

Niełatwo jest pisać o „czterdziestolaktu”... Czterdzieści lat to dużo i mało. Choć w przypadku konkursu literackiego to raczej dużo. Czterdzieści lat istnienia takiego konkursu oznaczają, że stał się on „doświadczeniem” co najmniej dwóch pokoleń twórców.

Historię Konkursu Literackiego „Limesu” można byłoby zacząć jak stare kroniki – ginie ona w „mroku dziejów”, a jej początki pozostają nieznane. A przynajmniej coraz trudniejsze do poznania. I to w sensie dosłownym. Próżno szukać jakichkolwiek śladów najwcześniejszych konkursów w zbiorach siedleckich bibliotek (zarówno miejskiej, jak i Biblioteki Głównej UPH), a nawet w samym Limesie (dodajmy jeszcze, że próżno szukać ich także w katalogach Biblioteki Narodowej, jakkolwiek ta stara się gromadzić wszystkie publikacje, włącznie z tymi ulotnymi).

Jak każdy konkurs literacki o tak znaczącym „stażu”, tak i Konkurs Literacki „Limesu” ewoluował na przestrzeni lat. Początkowo był to konkurs organizowany w zasadzie niejako na „własny użytek” i ograniczający się do własnego podwórka. Jego „modelowymi” uczestnikami byli studenci siedleckiej Uczelni (choć adresowany był od samego początku do szerszego grona twórców). Z jednej strony moglibyśmy uznać dziś takie zachowanie za przejaw jakichś kompleksów i zaściankowości, z drugiej jednak warto byłoby się zastanowić nad potencjałem kulturotwórczym ówczesnej młodzieży studenckiej. I rzeczywiście byłoby warto, bo wielu spośród uczestników tych pierwszych konkursów wywarło znaczący wpływ na życie kulturalne Siedlec i okolic na długie lata. Wystarczy wspomnieć tu nazwiska Eugeniusza Kasjanowicza (absolwenta siedleckiej pedagogiki), wieloletniego animatora grupy poetyckiej



„Ogród” działającej przy Centrum Kultury i Sztuki w Siedlcach, czy Krzysztofa Tomaszewskiego – dziś działacza samorządowego i animatora grupy poetyckiej „Witraż” funkcjonującej przy Miejskim Ośrodku Kultury w Siedlcach.

W tej początkowej fazie funkcjonowania konkursu przyznawano nagrody w dwóch kategoriach – poezji i prozy (przez pewien czas istniała i trzecia – „dział prozy historyczno-dokumentacyjnej”). W okresie późniejszym często podział ten zanikał i Jury przyznawało po prostu nagrody i wyróżnienia dla uczestników, bez rozróżnienia na formę twórczości. W ostatnich latach zarysowuje się jednak tendencja do odrębnego traktowania liryki i utworów prozatorskich.

Z czasem formuła konkursu „wewnętrznego” ulegała stopniowym przemianom. Wystarczy powiedzieć, że od pewnego momentu (z zachowanych materiałów wynika, że od IX edycji) oficjalna nazwa konkursu zmieniła brzmienie na „Konkurs Literacki dla Twórców Podlaskich”. Pod taką nazwą konkurs funkcjonował do swojej XVI-ej edycji (1993). Później pojawiła się jeszcze okazjonalnie nazwa „Podlaski Konkurs Literacki” (zob. protokół z posiedzenia Jury opublikowany w zbiorze prezentującym wiersze laureatów – 1994). Obie wspomniane wyżej nazwy sugerować mogą, że Konkurs coraz bardziej świadomie ewoluował, by stać się zjawiskiem życia literackiego o zasięgu regionalnym *stricto sensu*. Zresztą musiała to być „regionalność” bardzo umowna i krótkotrwała. Wprawdzie w przypadku XIV edycji w zasadzie wszyscy nagrodzeni (Robert Konca, Eugeniusz Kasjanowicz, Stanisław Kowalczyk, Edward Kopówka i inni) wywodzą się z Podlasia i do dziś pozostają związani z Siedlcami, ale już na przykład wśród laureatów XVI Konkursu Literackiego dla Twórców Podlaskich próżno szukać choćby jednego Podlasiaka. Podobnie wyglądała sytuacja w edycji kolejnej (choć tu przynajmniej najniższe miejsce na podium zajęła

siedleczanka Urszula Gotowicka). Można zatem przyjąć jako pewnik, że przymiotnik „Podlaski” przestał w tym momencie pełnić funkcję „identyfikacyjną” w odniesieniu do uczestników, a stał się swoistym indeksem określającym regionalne umiejscowienie Konkursu.

Kolejne edycje są już pozbawione regionalnego „ogranicznika” w nazwie. Równoległe daje się zaobserwować stopniowe narastanie liczby nadsyłanych prac (a tym samym i poszerzanie się kręgu Autorów). Świadczy to z jednej strony o postępującym upowszechnianiu się informacji o samym istnieniu Konkursu w pewnych kręgach literackich, z drugiej zaś – o ugruntowywaniu się jego pozycji na literackiej mapie Polski. Pośrednio można ten fakt potraktować również jako świadectwo osiągnięcia przez siedlecki Konkurs pewnej ustabilizowanej pozycji na tej mapie. Jest bowiem rzeczą oczywistą, że z każdą kolejną edycją zyskuje się coraz większy kredyt zaufania ze strony twórców. To zaś łączy się i ze wzrostem prestiżu tak samego wydarzenia, jak i wszelakich zdobywanych na nim nagród i wyróżnień w środowisku artystycznym. W chwili obecnej śmiało można powiedzieć, że Konkurs Literacki „Limesu” przekroczył granice Polski – w ostatnich edycjach Jury otrzymało do oceny prace nadesłane także przez Autorów zamieszkujących (czasowo lub na stałe) za granicą...

W organizowanych przez „Limes” konkursach swoje poetyckie szlify zdobywali nie tylko najważniejsi twórcy regionu siedleckiego, ale i twórcy znani dziś w skali ogólnopolskiej, jak choćby znany teraz przede wszystkim z twórczości satyrycznej i kabaretowej Juliusz Wątroba, Roman Honet (laureat Nagrody Poetyckiej im. Wisławy Szymborskiej (2015)), Sławomir Płatek czy Daniel Ratz.

Na koniec warto wspomnieć i o drugiej stronie konkursu, tzn. o jurorach. W ciągu czterdziestu lat trwania siedleckiego turnieju w jego Jury zasiadali obok siedleckich dziennikarzy i literaturoznawców



miejscowego Uniwersytetu znani poeci. Wiele lat obradom zespołu oceniającego nadesłane prace przewodniczyli Jan Marszałek, a potem Maciej Cisło, a w ostatnich latach Aleksander Nawrocki i Wacław Oszajca. Swoistym zaś „zwornikiem”, spajającym przez te wszystkie lata zarówno Jury, jak i samą ideę turnieju, pozostaje kierujący Studenckim Ośrodkiem Działań Kulturalnych „Limes” mgr Tadeusz Goc – organizator Konkursu i stały sekretarz Jury.

Jeśli z okazji tak okrągłej rocznicy, jaką jest czterdziestolecie istnienia, można pozwolić sobie na jakieś życzenia, to wypadałoby życzyć Dostojnemu Jubilatowi tradycyjnych stu lat...

Roman Bobryk

Spis treści

Wacław Oszajca

Iskrenie życia 5

I nagroda

Andrzej Liczmonik

Uzdrowienie 11

II nagroda

Krzysztof Chronowski

Urodziny 19

III nagroda

Aleksandra Caban

Pieskie życie 30

I nagroda

Anna Piliszewska

Ancilla 45

Drwęca 46

profesor Kilroy pije kawę w stołówce akademickiej 47

Fryderyk Chopin, do babki Antoniny K. list w tonacji f - moll 48

cegielnia Hosera. Wiegenlied 50

II nagroda

Magdalena Dryl

POZOSTAŁOŚĆ 52

TESTAMENT 53

(...) 54



NOCA.....	56
Rozmowa milczenia	57

III nagroda

Tadeusz Charmuszko

PLUS	58
MINUS	59
GWIAZDKA	60
KÓŁKO	61
KRZYŻYK	62

wyróżnienie

Zbigniew Mysłowiecki

STARSZA PANI PISZE WIERSZ.....	63
* * *	64
* * * /pieśń czarnej owcy/	65

Nagroda w kategorii „student”

Anna Maria Kobylińska

Pamiętasz.....	67
Alpinista	68
<i>Panorama</i> Hendrika Mesdaga	69
Czas na literacką herbatę	70
Spacer Vincenta.....	71

Wyróżnienie w kategorii „student”

Paulina Montewka

Pytania zadawane sobie	72
Cywilizacja	73
Dziecięce zwierciadło.....	74

Nagroda specjalna za wiersz o Siedlcach	
Tadeusz Dejnecki	
Nad Muchawką.....	76
Adam Wierzbicki	
Powtórka z Romantyzmu	77
Aleksandra Biernacik	
Zimowa baśń dla córeczki	78
Monika Olszewska	
pierwsze.....	79
Paulina Pawlak	
Te trzy.....	80
Stanisław Wasilewski	
Moja wioska	81
Dominika Bocian	
Plac zabaw	82
Anna Płaskowska	
U progu strachu (fragmenty)	83
Roman Bobryk	
CZTERDZIESTOLATEK.....	89



Wykaz uczestników

Lp	Nazwisko i imię	Miejscowość	Godło
1	Bocian Dominika	Siedlce	Doma
2	Borowski Andrzej	Siedlce	Szeryf*Tv
3	Biernacik Dominika	Bydgoszcz	Lady Luna
4	Biernacik Aleksandra	Bydgoszcz	Arwena
5	Charmuszek Tadeusz	Suwałki	Lebioda, Nektarynka
6	Chronowski Krzysztof	Wrocław	Marcyn
7	Caban Aleksandra	Bielsko Biała	Popiół
8	Degen Izabella	Wrocław	Vega
9	Dryl Magdalena	Katowice	Odtądotąd
10	Dejnecki Tadeusz	Płock	Kros
11	Hęciak Franek	Grodziski Mazowiecki	Uczeń 3 Kkasy SP
12	Hurman Patrycja	Terespol	P.H.
13	Jakubowski Bronisław	Ząbki	Rydz
14	Krasuski Sebastian	Zembry	„S.K”
15	Kobylińska Anna Maria	Warszawa	Fuksja

16	Liczmonik Andrzej	Wrocław	Apollo
17	Mysłowiecki Zbigniew	Warszawa	Albatros
18	Mazurczak Przemysław	Zbuczyn	
19	Moczulska Magdalena	Czarkówka Duża	”M.M”
20	Montewka Paulina	Chodów	Silentium
21	Rafał Niemyjski	Koce-Piskuły	Rafaello
22	Ostaszewska Urszula	Kutyski	Ada
23	Oliszewska Monika	Warszawa	Malinowe wspomnienie Ważne słowa to:
24	Porowski Kamil	Jabłoń Spały	Softys
25	Piliszewska Anna	Wieliczka	Demeter
26	Porowski Mariusz	Jabłoń Spały	Haruto
27	Plaskowska Anna	Mińsk Mazowiecki	Ogniowaczek
28	Pawlak Paulina	Kopina	Sammar
29	Radzikowski Karol	Modrzew	Xxx
30	Radzikowski Daniel	Modrzew	Lir
31	Sergiej Przemysław	Łukowisko	Spartakus

32	Sawczuk Sebastian	Krzywda	Sawczuchny
33	Tubalets Milena		Milena
34	Wysocka Edyta	Miastko	Edda
35	Wierzbicki Adam	Dłużek	Sen Lorelay
36	Wasilewski Stanisław	Żyrardów	Sum europejski
37	Witkowski Tomasz	Sulejówek	Teheran

**STUDENCKI OŚRODEK DZIAŁAŃ
KULTURALNYCH
„LIMES”**

Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego
w Siedlcach
ogłasza

XLI KONKURS LITERACKI

Konkurs odbywa się w dwóch kategoriach:

- - poezji – zestaw 5 wierszy lub poemat **do 15 stron
znormalizowanego maszynopisu**
- - prozy – mała forma prozatorska **do 20 stron
znormalizowanego maszynopisu**

TREŚĆ I FORMA UTWORÓW DOWOLNE

Za najlepszy utwór związany tematycznie z Siedlcami przyznana zostanie nagroda specjalna.

Oddzielnie rozpatrywane będą prace studentów, prosimy więc zaznaczyć to na kopercie informacją „Student”

Prace konkursowe, nigdzie nie publikowane i nie nagradzane, w 4 egzemplarzach maszynopisu, **opatrzone godłem, wraz z kopertą podpisaną tym samym godłem i zawierającą imię, nazwisko i dokładny adres autora** (prace nie spełniające tych warunków zostaną pominięte), należy nadsyłać

do 31 marca 2018 r. na adres:

STUDENCKI OŚRODEK DZIAŁAŃ KULTURALNYCH
„LIMES”

ul. Bema 1

08-110 Siedlce

z dopiskiem „XL Konkurs Literacki”

Ogłoszenie werdyktu Jury powołanego przez organizatora
i rozdanie nagród odbędzie się jesienią 2018 r.

Konkurs odbywa się pod patronatem

PREZYDENTA MIASTA SIEDLCE

Nagrodzone i wyróżnione prace zostaną opublikowane
w pokonkursowym wydawnictwie zwartym.

Zapraszamy do udziału!